❶ Sopot'91 od kulis ❸ Urodzaj na fałszerzy ❹ Sędziejowice huczą od plotek ❺ W kolejce do transplantacji ❻ Starość bez osłonek ⓭ Tygodniowy program TV ⓰ Kwadratura seksu

Łódź
Odgłosy
Nr 16 (1701)
Rok I (XXXIV)
8 września 1991 r.
Cena 3000 zł

Etta Scolo, III nagroda w konkursie Grand Prix — Fot: R. Kopcińska

Sopot – 91 od kulis, czyli:

Walka o zielone

BOHDAN GADOMSKI

W dniu rozpoczęcia XXVIII Międzynarodowego Festiwalu Muzyki „SOPOT'91", organizator „UP International Ltd", sponsor firma „Uniwersal" i bracia Jaroszewiczowie (angielscy właściciele festiwalu sopockiego) mieli 1 miliard złotych deficytu. Ale podobno dla braci Jaroszewiczów impreza ta wcale nie musiała być inwestycją przynoszącą wielki dochód, lecz po prostu miłą podróżą sentymentalną z Londynu do rodzinnego kraju. I kiedy wszystko wskazywało na to, że polsko-angielskim miliarderom uda się zrealizować owo skromne marzenie, wszystko stanęło pod znakiem zapytania.

Panikę wywołał pucz wojskowy w ZSRR. Rozdzwoniły się telefony, w których zadawano wciąż to samo pytanie: *Czy w związku z sytuacją polityczną wschodniego sąsiada Polski – impreza się odbędzie?* Kiedy w okresie wojny w Zatoce Perskiej odbywały się w Cannes Międzynarodowe Targi MIDEM, 2/3 uczestników nie przyjechała właśnie z tego powodu, ale impreza odbyła się. Organizatorzy „Sopotu'91" zadrżeli o frekwencję, co jednak nie miało wpływu na wysokość ustalonych i nęcących nagród w łącznej wysokości 45 tysięcy dolarów.

Koszty sprowadzenia gwiazd pokryły „British Airways", dołożyła koreańska firma „Samsung" i kilka innych. Organizację przejął od dyrektora Andrzeja Kowalika z sopockiego BART-u dyrektor **Wojciech Korzeniewski** z międzynarodowego (chociaż sopockiego) „UP International Ltd." Impreza duża, największa w Polsce wśród estradowych imprez. Organizacja dosyć trudna do realizacji, no i oczywiście wyjątkowo kosztowna.

Już trzy lata temu powątpiewano, czy „UP International" podoła, tym bardziej, że prezydent festiwalu Wojciech Korzeniewski miał zawsze zbyt duże plany i jeszcze większe marzenia, które szeroko reklamował, ale i... stopniowo realizował.

Co roku zazdrośnicy (np. BART w ostatniej chwili rzucił Korzeniewskiemu kłodę wartości ponad 340 milionów złotych, żądając takowej sumy jako gospodarz Opery Leśnej za jej wynajęcie na trzy tygodnie) powątpiewali, podgryzali, zapowiadając wielką plajtę. A tymczasem UPI wciąż funkcjonuje i ma się dobrze, a Wojciech Korzeniewski wciąż szuka właściwej formuły festiwalu i ma coraz lepsze kontakty w światowym showbusinessie.

W tym roku, postanowiono podążyć tropem Targów MIDEM w Cannes i zorganizować w ramach imprez towarzyszących festiwalowi np. Międzynarodowe Targi Muzyczne Sopot Expo, karnawał uliczny z udziałem kilkudziesięcioosobowej grupy z Nicei, wystawy, pokazy mody, samochodowe Grand Prix, międzynarodową wystawę samochodów sportowych, paradę koni wyścigowych, a przede wszystkim niezliczone bankiety i koktajle.

Zanim to wszystko ruszyło, kilkunastoosobowa grupa kibiców (po meczu Polska-Szwecja) terroryzowała na ul. Bohaterów Monte Cassino w Sopocie przechodniów, grupa skinów zaatakowała kamieniami z torowiska kolejowego koczujących w okolicach dworca Rumunów. Emigranci nie pozostali dłużni. Musiała interweniować policja.

Cd. str 9

W kolejce do życia

KONRAD FREJDLICH

Kiedy czternastoletniego Przemka rozbolał brzuch i lekarz rejonowy wykluczył zapalenie wyrostka, pani Jaroniowa poczuła dziwny niepokój. Bowiem ból nie ustawał i chłopiec robił się coraz słabszy. Znając swojego syna wiedziała, że to nie udawane, nie żadna tam szkolna wymówka. Przemek chodził do ósmej klasy i nie miał kłopotów z nauką. A kiedy zobaczyła jego nienaturalny wzrok, te oczy powiedziały jej niemal wszystko. Zwróciła na to uwagę lekarzowi, upierała się, bo dla niej było jasne, że jest źle, bardzo źle.

W ten sposób Przemek trafił na blok C szpitala im. dr. Władysława Biegańskiego.

Miał szczęście, bo w sąsiedztwie, w bliźniaczym pawilonie, mieści się Klinika Chorób Zakaźnych Akademii Medycznej w Łodzi, kierowana przez prof. Jana Kuydowicza. Skupiony wokół niego zespół lekarzy interesuje się chorobami wątroby, powstał tu nawet „nieoficjalny" ośrodek hepatologiczny.

Wątroba człowieka to dziwny twór złożony z dwóch płatów. Na ich granicy znajduje się wnęka zwana wrotami, przez które wchodzą naczynia krwionośne, wychodzą natomiast przewody żółciowe. Wątroba odgrywa ważną rolę w przemianie materii, spełnia funkcję gruczołu trawiennego, wychwytuje i rozkłada substancje szkodliwe, wreszcie magazynuje niektóre witaminy i znaczne ilości żelaza. Prócz tego jest zbiornikiem krążącej krwi i uczestniczy w procesie termoregulacji organizmu jako narząd o najwyższej temperaturze. Może dlatego nikt jeszcze nie pokusił się o skonstruowanie modelu tego organu i chyba nieprędko będzie można mówić o sztucznej wątrobie.

Kiedy następują zakłócenia jej czynności mamy najczęściej do czynienia z ciężkim stanem ogólnym pacjenta, prowadzącym do utraty przytomności, a nawet śpiączki.

U Przemka zaczęto podejrzewać wirusowe zapalenie wątroby, wskazywało na to choćby wysokie stężenie bilirubiny, jak przy żółtaczce. Kiedy trafił do kliniki, to znaczy przeniesiony został z bloku C do F, znajdował się już w stanie głębokiej śpiączki. Ostra niewydolność wątroby spowodowana była autoimmunologicznym zapaleniem tego narządu. Z nieznanych powodów organizm niszczył sam siebie. Lekarze nie chcieli biernie przyglądać się tej samozagładzie, choć stało się dla nich jasne, że leczenie zachowawcze stwarza niewielkie szanse. Corocznie umiera w Polsce blisko dwieście osób na niewydolność wątroby, jedną na dziesięć daje się uratować.

Oczywiście medycyna nie jest już bezradna w takich przypadkach. Od kilkunastu lat weszły na świecie w użycie transplantacje wątroby, które przeprowadza się nawet w Polsce, choć bardzo rzadko, bowiem przeszkodą jest nasza organizacja. W ostrej niewydolności wątroby decydują godziny, bo niczym nie można jej zastąpić, trzeba ją pobrać od innego człowieka.

Kiedy leczenie zachowawcze utrzymywało Przemka przy życiu, choć nie gwarantowało żadnej poprawy, stało się jasne, że tylko trans-

Cd. str. 5

CONFEXIM MARKET
Łódź
ul. Brukowa 8
- Hurtownia taniej odzieży importowanej
- Skład Celny (pełny zakres usług)
tel. 51-48-11

Koneserom dobrej kuchni i smakoszom

Restauracja – Cocktail-Bar

LYON

poleca dania kuchni francuskiej. Aby zaspokoić życzenia naszych Konsumentów posiadamy duży wybór win francuskich. Lokal nasz mieści się przy ulicy
Piotrkowskiej 103/105
i czynny jest codziennie w godzinach 8.00-24.00.
Pod numerem 32-37-77 przyjmujemy telefoniczną rezerwację miejsc. Na zamówienie organizujemy kameralne przyjęcia i wystawne bankiety. Gwarantujemy obsługę kelnerską na najwyższym poziomie.

BON APPETIT I DUŻO MIŁYCH WRAŻEŃ ŻYCZY PAŃSTWU

Dyrekcja

Widziane z dołu

● Po wysłuchaniu sejmowego przemówienia premiera Jana Krzysztofa Bieleckiego przypomniał nam się Bertold Brecht i jego „Rozwiązanie":

Czy nie byłoby
Prościej, aby rząd
Rozwiązał naród
I wybrał sobie nowy?

● Najpierw „Express Wieczorny" – należący dziś do Porozumienia Centrum – a następnego dnia przewodniczący OKP, poseł Mieczysław Gil skierowali pod adresem SdRP zarzut o współdziałanie tej partii z osobami, które wprowadziły w ZSRR stan wojenny. Poseł Mieczysław Gil zażądał od UOP i prokuratury, przeprowadzenia śledztwa. SdRP również tego żąda, jednocześnie zapowiedziała skierowanie do sądu pozwu wobec posła Mieczysława Gila, którego obwinia o pomówienie. Byłoby bardzo dobrze, aby tym razem sprawa została szybko i do końca wyjaśniona! Rodzi się bowiem podejrzenie, że jest kolejna gra przedwyborcza.

● Ochrona zdrowia sięga już dna, a w Ministerstwie Zdrowia i Opieki Społecznej konflikt. Wiceminister Krystyna Sienkiewicz zgłosiła zastrzeżenia wobec ministra Władysława Sidorowicza. Powodem jest rozrzutna polityka gospodarcza. Według oceny NIK minister czterokrotnie przekroczył limit przeznaczony na delegacje krajowe. Wydano 538 milionów zł. Na zakwaterowanie kierownictwa ministerstwa, w tym ministra Władysława Sidorowicza, wydano 406 milionów zł. Samochody służbowe wykorzystywano w wolne soboty i w niedziele. Sejmowa Komisja Zdrowia skrytykowała nie tylko rozrzutność ministra, ale i brak aktów wykonawczych do gotowych już ustaw, odkładanie debaty nad ustawą o lekach, lekceważący stosunek do środowiska pielęgniarek i położnych, a także złą atmosferę panującą w ministerstwie. Uchwalono wotum nieufności i przesłano je do Prezydium Sejmu RP. Posłowie zwrócili się do NIK o niewstrzymywanie kontroli. „Kurier Polski" ponownie napisał pod adresem ministra Władysława Sidorowicza, że czas odejść. Minister nie uznał zarzutów i nie zamierza podać się do dymisji. Gdyby był z innego obozu politycznego nie omieszkano by już napisać, że „przykleił się do fotela".

● Rzecznik prasowy Prezydenta RP – Andrzej Drzycimski oświadczył: *„Wobec ponawiających się informacji na temat powiązania ludzi aparatu władzy, członków parlamentu, jak i urzędu prezydenckiego z różnego rodzaju podmiotami gospodarczymi, prezydent Lecha Wałęsa uważa, że tego typu praktyka jest niedopuszczalna"*. Deklaracja w „tym temacie" jest, zobaczymy, jaka będzie praktyka.

● Władysław Frasyniuk – wiceprzewodniczący Unii Demokratycznej – był w Zduńskiej Woli na spotkaniu i tam powiedział: – „Akcja „łap złodzieja" zapoczątkowana przez Porozumienie Centrum okazała się „dołkiem", w którym pierwsze wpadło właśnie Porozumienie. Złapało się za własną rękę. Mam nadzieję, że senator Kaczyński dokładnie wyjaśni aferę związaną ze spółką „Telegraf". Nadzieja rzecz piękna, pewność jeszcze piękniejsza. A właśnie tej pewności nie mamy.

● Prasa nam potężnieje i staje się gwałtownie europejska. Dwaj reporterzy „Dziennika Łódzkiego": Marcin Kowalczyk i Maciej Maciejewski odjechali do Belgradu, aby pisać korespondencje z frontu serbsko-chorwackiego. Od firmy „Interabra" otrzymali audi 80 turbo, a od Muzeum Kinematografii kamerę. Wyprawa ta może okazać się spóźniona, gdyż zapowiada się rozejm między walczącymi tam stronami. Dla Serbów i Chorwatów na szczęście. W związku z taką możliwością staje się jasne, dlaczego WES napisał w „Życiu towarzyskim" („Gazeta Łódzka"): *„Na kilka godzin przed wyjazdem reporter zwierzył się nam, że jeżeli samochodu nie podziurawią „czetnicy", to i tak ma zamiar rozbić auto"*. O czymś trzeba będzie przecież pisać?

● Kryzys gospodarki nie mógł ominąć PKP. W związku z tym od połowy września bilety drożeją o połowę oraz PKP odwoła wiele pociągów. Z dworca Łódź Fabryczna nie będą odjeżdżać pociągi do Warszawy Wschodniej (6.45), do Gliwic (12.38) do Żywca (4.38). Z dworca Łódź Kaliska (ciągle w remoncie) nie będzie odchodził pociąg do Kołobrzegu (19.25), a z dworca Łódź Chojny (też dworzec!?!) do Chełma Lubelskiego (21.47) i do Zielonej Góry (23.32). Mniej pociągów przyjedzie też do Łodzi. Zmiany te nastąpią od 15 września 1991 roku.

● Z początkiem roku szkolnego – który właśnie się zaczął – ZNP zaplanowało akcję protestacyjną, która polega na informowaniu przez nauczycieli rodziców i tragicznej sytuacji oświaty. ZNP ma zwrócić się do Rady Ministrów o uchylenie zarządzeń o oszczędnościach w oświacie. Zarządzenia te podjęto bez konsultacji ze środowiskiem nauczycielskim. W związku z tym ZNP kieruje wnioski w tej sprawie do Rzecznika Praw Obywatelskich i do Trybunału Konstytucyjnego.

B.M.

Odgłosy

Tygodnik „Odgłosy"
Radaktor naczelny Mirosław Kuliś
Wydawca: „Odgłosy-Press" S.C.
90-113 Łódź ul. Sienkiewicza 3/5
☎ 36-52-44
Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń. Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca.

Sierpniowy remanent

Przed wyjazdem na zasłużony, jak myślę, urlop postanowiłem sobie solennie, że przez najbliższy miesiąc nie będę oglądał telewizji, nie będę czytał gazet, a co najwyżej podczas śniadania posłucham Lata z Radiem, przede wszystkim po to, aby dowiedzieć się jaka będzie pogoda. Całą swoją energię i talenty miałem poświęcić na odkrywanie nowych zagajników z borowikami, na ekskursje do tycz części leśnych ostępów, do których nie zdążyłem dotrzeć w poprzednich latach (penetruję te lasy od lat bez mała dwudziestu) i na plażowe lektury. Książki wziąłem dwie: Le Carrego „The Russia House" i Szczypiorskiego „Noc, dzień i noc", czyli trochę wysmakowanej rozrywki (Le Carre uchodzi za Dostojewskiego powieści szpiegowskiej) i intelektualnej fabuły o polskiej, niedawnej przeszłości.

Liczyłem na to, że nic takiego się nie stanie o czym jako świadomy obywatel RP powinienem się dowiedzieć, czym się głęboko przejąć, nad czym załamać ręce. Tym bardziej iż jeszcze przed wyjazdem wyczytałem, bodaj w „Rzeczpospolitej", że pan Siwek wybiera się na urlop do Zakopanego, a panowie Kaczyńscy do Juraty. Przyjdzie trochę spokoju, myślałem, i nic nie zakłóci mi wakacyjnej beztroski. Pierwszoligowi szermierze polskiej planszy politycznej będą ładować akumulatory i dadzą kibicom kilkanaście dni oddechu.

Nawet wówczas gdy wybuchła afera ze spółką ART-B uznałem ją za godną sezonu ogórkowego dziennikarską sensację i zdaje się, że słusznie, bo po tych setkach oświadczeń, artykułów i doniesień specjalnych wysłanników, prokuratura oskarża w końcu Bagsika o jakąś łapówkę co, notabene, musi jeszcze udowodnić. Nadal więc goniłem za koźlakami i prawdziwkami chłonąc leśne aromaty, tym łapczywiej, że z każdym dniem, gdy chudł portfel, uświadamiałam sobie jakie cenne są to rozkosze.

Czułem jednakowoż, że coś zdarzyć się musi. Bo choć zamierzałem podczas urlopu, jak rok w rok, izolować się od cywilizacji i uciekać w azyle natury, przynajmniej od dziesięciu lat sierpień zawsze stawał dęba i straszył niewiadomym. A przecież bywały i takie daty, kiedy w popłochu trzeba było wiać przed historią do domowych pieleszy i wyglądać z niepokojem następnego dnia.

I stało się. Zamach stanu w Związku Radzieckim przywrócił mnie cywilizacji: zamiast w lesie, z nosem we wrzosach, siedziałem teraz z radiem przy uchu i nasłuchiwałem wieści z Moskwy. Przez pierwsze godziny wydawało się, że świat przełknął to co się stało i pogrzebał Gorbaczowa. Jedynie Helmut Hohl od samego początku upominał się w swoich oświadczeniach o los radzieckiego przywódcy. Ten dramatyczny festiwal komentarzy i wypowiedzi dla nas, zwyczajnych obserwatorów światowej polityki, był jeszcze jednym potwierdzeniem, że ta sfera rzeczywistości rządzi się prawami, w których nie ma miejsca na sentymenty i ludzkie emocje. I to, że pucz się nie udał dla wielu komentatorów, a i polityków, było takim samym zaskoczeniem jak sama próba przewrotu. Z czego widać, wbrew przysłowiu, że historia jednak nie lubi się powtarzać, a przeciwnie, obraca się przeciw tym, którzy chcieliby naśladować jej przeszłe mechanizmy.

Dziękował po powrocie na Kreml Gorbaczow zagranicznym rozgłośniom radiowym za to, że mógł za ich pośrednictwem śledzić rozgrywające się na ulicach Moskwy wydarzenia. I ja jak wszyscy, którzy wówczas słuchali w Polsce radia, swoją wiedzę czerpałem z zagranicznych radiostacji. Polskie radio, zresztą nie po raz pierwszy, nie potrafiło się w tym wszystkim odnaleźć: ubogie serwisy, płytkie komentarze i informacyjna nieoperatywność wprost irytowały, jeśli porównywało się nasze rodzime wiadomości choćby z tym co proponowała Wolna Europa, nie wspominając już innych częstotliwości. Jak przypuszczam, oprócz zwyczajnego niedowładu przyczyny takiej pseudoostrożności mogły mieć i podtekst polityczny: z tym Związkiem Radzieckim teraz nic nie wiadomo (wytycznych nie ma), wróg to czy sąsiad? Można by powiedzieć, że taką mamy informację o tym, co rzeczywiście dzieje się za wschodnią granicą, jaką politykę uprawia nasza dyplomacja wobec tamtego kraju. Widać to było z całą wyrazistością w dniach puczu i potem. Więcej w tych działaniach dyplomatycznych nietaktów niż świadomej i, co ważniejsze, konsekwentnej linii. Przecież nie można odpowiedzieć na telefon sąsiada, który dzwoni do nas z podziękowaniami za wsparcie: dobra, dobra, ale kiedy Pan oddasz nasze długi?

Ledwom się okopał po urlopie w domu, ledwom mozolnie podliczył wszystkie podwyżki czynszu, które zreformowana spółdzielnia mieszkaniowa była łaskawa nadesłać w sierpniu, tu mi rząd podaje się do dymisji. Owszem, poruszyło mnie to do głębi, ale nie tyle, aby wyjść na ulicę i krzyczeć „Kuroń wróć!", albo – broń Boże – biec pod Belweder i rzucać gruszą w Matkę Boską (prawdę mówiąc, to bym nie wiedział przeciw komu skierować swój „słuszny gniew", czyli całkiem inaczej niż pan poseł Gil, który zawsze wie kto jest winien). Ostatnie miesiące nauczyły mnie, jak wszystkich świadomych tego co się dzieje rodaków, traktować polityczne gry naszych panów senatorów i panów posłów z całym dobrodziejstwem partyjnego inwentarza: tak wniosek posłanki Ziółkowskiej, jak i zgłoszona przez premiera dymisja rządu jest nader przejrzystym chwytem (czy skutecznym?), aby łagodzić – przynajmniej na jakiś czas – społeczne nastroje.

Co będzie dalej? Same niewiadome. Byle nie X!

Grzegorz Gazda

Czy Ministerstwo Finansów toleruje u siebie totalny bałagan?

„A w mass mediach tylko ART-B. Nie ma wątpliwości, że sprawa ART-B odwróciła uwagę społeczeństwa od dwóch gigantycznych afer ostatnich miesięcy: FOZZ i rublowej. I pewnie o to chodziło. Weszliśmy w nową kampanię wyborczą."

Ten pogląd, a raczej sugestia, wyrażona na łamach **„Tygodnika Solidarność"** (35) zmusza nas do podjęcia – po raz trzeci już w odgłosowym przeglądzie prasy – ciemnych spraw związanych z mnożącymi się aferami. Wszak czujemy się winowajcami: my również „trąbiliśmy" o firmie ART-B, przez co być może wspomogliśmy manipulatorów? Jeśli to był błąd, naprawiamy go czym prędzej: oto szczegóły afery Funduszu Obsługi Zadłużenia Zagranicznego (FOZZ), nazwanej „największym skandalem finansowym RP" **(„Przegląd Tygodniowy" 31)**:

„FOZZ powstał w 1989 roku i na swoją działalność otrzymywał gigantyczne dotacje. Kiedy w styczniu br. postawiony został w stan likwidacji, okazało się, że nie można rozliczyć blisko 10 bilionów złotych – to jest wersja NIK. Natomiast wiceminister finansów Wojciech Misiąg łagodzi sprawę, mówi zaledwie o 1,7 biliona.

Ofiarą tej afery stał się Michał Falzmann, członek zespołu NIK, który zajmował się badaniem nadużyć w pracy FOZZ. Na pogrzebie zmarłego na atak serca Michała Falzmanna powiedziano, że zabiła go świadomość bezkarności przestępców finansowych, którzy spokojnie chodzą po Warszawie. Falzmann nie mógł znieść, że niektórzy politycy w tej aferze są bezsilni, inni zaś blokują dostęp do prawdy. Falzmanna szykanowano. Odsunięty został od sprawy przez zwierzchników. Był nachodzony przez osoby chcące go zmusić do kompromisu. Skończył życie w wieku 38 lat. Osierocił pięcioro dzieci".

W następnym „Przeglądzie Tygodniowym" (32) Stanisław Albinowski opublikował zdumiewające szczegóły:

„Jeszcze przed ujawnieniem afery (...) otrzymałem pocztą, od anonimowego nadawcy, kserokopie pliku dokumentów. Niektóre z nich były opatrzone adnotacją „poufne", a wszystkie dotyczyły działalności i postępowania likwidacyjnego FOZZ. W wielu punktach sprawa miała posmak wyraźnie kryminalny. Z niektórych dokumentów wynikało jednak, że dochodzenie jest już w toku. Dla dobra sprawy zaniechałem więc robienia publicznej sensacji. Teraz, gdy umocniłem się w przekonaniu, że cała afera jest raczej tuszowana niż konsekwentnie wyjaśniana, zdecydowałem się na opublikowanie tej części faktów, które są istotne tylko dla omawianego aspektu sprawy. Co do autentyczności przekazanych mi dokumentów, nie można mieć żadnych wątpliwości. Głównymi z nich są: 1. Sprawozanie dla ministra finansów o przebiegu likwidacji FOZZ, sporządzone przez likwidatora funduszu, Jerzego Dzierżyńskiego (...) 2. List podsekretarza stanu w Ministerstwie Finansów, Janusza Sawickiego (...)

Obraz, jaki wyłania się ze „Sprawozdania", budzi zdumienie i grozę. W funduszu, który obracał bilionami złotych i setkami milionów dolarów, nie istniał ani regulamin księgowania operacji finansowych, ani jednolity system techniki ich księgowania. Nieuchronną konsekwencją są braki w ewidencji i totalny chaos, prowadzący m.in. do tego, że – jak stwierdza J. Dzierżyński – powstawały absurdalne sytuacje, gdy np. spłata zobowiązania została ujęta jako powstanie należności. (...)

A jak na to wszystko reaguje min. Sawicki? Otóż przede wszystkim pyta w swym liście J. Dzierżyńskiego: „Czy wiadomo dlaczego nie była stosowana jednolita technika księgowania. Czy wynikało to z przyczyn obiektywnych, czy też z decyzji ówczesnej dyrekcji?" – Pytanie to tak bardzo zdumiewa, że aż ciśnie się na usta: „waćpan kpisz...?!" Rada Nadzorcza nie zastępuje oczywiście dyrekcji, ale musi znać (i akceptować) zasady działania dyrekcji. A jeśli nawet tego nie wie, to jest winna karygodnego zaniedbania".

Jak to już wiemy, wiceminister Sawicki podał się do dymisji, co nie oznacza, że sprawę należy uznać za zakończoną, choć być może byłoby to wygodne dla obecnego rządu. Następną „bilionową" aferą wydaje się być „afera rublowa", rozpętana przez posła Edmunda Krasowskiego. Niesie ona z sobą jeszcze więcej znaków zapytania.

Szczegóły w relacji **Iwony Jurczenko** w **„Prawie i Życiu" (35)**:

„Poseł Edmund Krasowski przewodniczący sejmowej podkomisji powołanej w celu dokonania analizy przyczyn napływu rubli transferowych do Banku Handlowego SA w Warszawie i skutków tego dla bilansu płatniczego państwa – twierdzi, że w wyniku tegorocznego eksportu do ZSRR, prowadzonego bez żadnej kontroli przez ponad sto prywatnych firm, budżet państwa stracił od 4 do 6 bilionów złotych. W końcu grudnia ubiegłego roku, zaledwie na kilka dnia przed wprowadzeniem rozliczeń dewizowych w handlu z ZSRR, firmy te masowo zawierały kontrakty z partnerem radzieckim na łączną sumę 3 mld rubli. Transakcje podpisywane były w ciągu dziesięciu ostatnich dni grudnia, a więc podpisywano je z całą premedytacją wiedząc, że zamiast dolarów za dostawy w 1991r. otrzymamy bezwartościowe ruble. Wnieszkonombank – jedyny upoważniony do tego bank w ZSRR – przekazywał ruble do Banku Handlowego SA, gdzie automatycznie wymieniano je na złotówki po kursie 2100 zł za 1 rubla. I tak firma, która zawarła na przykład kontrakt na 100 mln rubli (a były takie firmy) wartych po czarnorynkowym kursie w ZSRR mniej więcej 4 mln dolarów po przetransferowaniu ich do Polski pobierała z banku około 210 mld złotych, czyli wówczas około 22 mln dolarów. Czyli około 550 procent zysku na jednym obrocie!

Powtarzam – podkreśla poseł Krasowski – strata budżetu państwa polega na tym, że obciąża to nasz budżet bilionami złotych. Wypłacono nasze złotówki trzymane w naszych bankach. Wpływ tych pieniędzy sprawił, że inflacja, z którą walczyło całe społeczeństwo, zaciskając pasa, trwała nadal. Ktoś to świadomie spowodował – stwierdza poseł Krasowski – 7,5 mld rubli w relacjach bankowych warte jest 15 bilionów złotych. Na taką kwotę w zeszłym roku „kredytowaliśmy" Związek Radziecki, dopłacając do tego eksportu. To jest 15 mld dolarów! Nie przypominam sobie, aby jakikolwiek kraj na świecie udzielił w zeszłym roku tak olbrzymiego kredytu. Widać komuś zależało, aby wyciągnąć od nas te pieniądze. Ale żeby to były pozory handlu, trzeba było stworzyć handlową fikcję w postaci tych dziwnych spółek, jedno-, dwuosobowych, często mieszczących się w prywatnych mieszkaniach lub takich, których w ogóle nie można odnaleźć pod wskazanym adresem.

– Sądzi pan, że było to sterowane przez osobę lub grupę osób? – pytam

– Moja odpowiedź brzmi: nie wiem. Ale to jest dobre pytanie i należy je zadawać".

W „rozpracowaniu" obu afer, FOZZ i „rublowej", dużą rolę odegrali inspektorzy NIK. **Tygodnik Solidarność (34)** zamieszcza wywiad z **Anatolem Lawiną**, dyrektorem Zespołu Analiz w NIK. Na pytanie dziennikarza: „Jakie straty Skarbu Państwa spowodowały ujawnione ostatnio afery gospodarcze", pada następująca odpowiedź:

– W ciągu ostatnich dwu lat straty te, zdaniem różnych specjalistów, sięgają 50-75 bilionów złotych. Nie tylko z powodu afer, bo na te straty składają się także wyniki zaniechań, np. niepłacenie podatków, chociaż powinny być pobrane, błędne decyzje Ministerstwa Finansów lub izb skarbowych. Nie znam w Ministerstwie Finansów żadnej sprawy, która byłaby rzetelnie udokumentowana i załatwiona. Kontrole w samym FOZZ nie mogły niczego ujawnić z powodu braku wiarygodnej dokumentacji. To samo jest w bankach, przedsiębiorstwach handlu zagranicznego, w Ministerstwie Współpracy z Zagranicą. W Banku Inicjatyw Gospodarczych, który okradł FOZZ, dokonano takiej operacji, że z rachunku klienta pobrano 100 mln złotych i ulokowano je, jako lokatę własną w innym banku. Nie można się więc dziwić, że banki bronią się przed kontrolą, motywując to tajemnicą bankową. Na Zachodzie taki bank jak BIG byłby natychmiast zlikwidowany, a prezes siedziałby w więzieniu. Podobnie jest ze spółkami. Dokumenty, jakie posiadam, świadczą, że Agencja Współpracy z Zagranicą też źle wykonuje swoje obowiązki, np. zaniżone są podatki".

Przyznaję, że po lekturze powyższej wypowiedzi wolałbym przyjąć hipotezę, że dyrektor Lawina jest politycznym demagogiem, zaś Tygodnik Solidarność, od dawna zwalczający Ministerstwo Finansów w jego obecnej obsadzie personalnej – pismem wyjątkowo stronniczym. A co jeśli okaże się, że dyrektor Lawina z NIK jest obiektywnym ekspertem? Strach pomyśleć...

AG

Najłatwiejsze do podrobienia są... dolary

Urodzaj na fałszerzy

Światek fałszerski od zawsze odpowiadał na zapotrzebowanie rynku i był jego swoistym barometrem.

W latach 60., gdy wprowadzono obowiązek uzupełniania wykształcenia podstawowego i średniego pojawiły się w kraju sfałszowane świadectwa szkolne. W Łodzi wykryto i osądzono wówczas grupę fałszerską, której członkowie mianowali siebie samych nieskromnie inżynierami.

W drugiej połowie lat 60. kiedy to hipisi dali początek narkomanii rozpoczął się proceder fałszowania recept. Było z tego wówczas kilka rozpraw sądowych, którym nadano rozgłos. W połowie lat 70. proceder ten ustał. Z jednej strony dzięki sprawnie przeprowadzonym działaniom profilaktycznym zmniejszono do minimum możliwości nabywania narkotyków na fałszywe recepty, zadbano także o odpowiednie zabezpieczenie aptek, z drugiej strony obumarł ruch hipisowski, wielu odciągnęła „mała stabilizacja" tego okresu. Modę na długie włosy zastąpiła moda na własne auto. Bardziej na czasie stało się fałszowanie książeczek i wkładów oszczędnościowych. W Łodzi zatrzymano wówczas dwóch studentów jednej z uczelni w Lublinie, którzy wyłudzili od Powszechnej Kasy Oszczędności 19 tys. złotych, co było sumą dość pokaźną.

Obecnie bardziej modne stało się fałszowanie czeków. Parę dni temu do łódzkich ekspertów trafiły cztery sfałszowane czeki rozrachunkowe opiewające na sumę 220 mln złotych.

W okresie trudności na rynku mięsnym i spirytusowym zaroiło się od sfałszowanych kart zaopatrzeniowych. Dzięki łódzkiej wpadce zlikwidowano wtedy poważny ośrodek fałszerski zakamuflowany w pracowni poligraficznej pewnych zakładów w Warszawie. Po przygotowaniu matryc fałszerze odbijali na powielaczu offsetowym w ciągu godziny 1000 kart. W śledztwie ustalono, że gang wyprodukował i puścił w Polskę 3 tys. odcinków na alkohol oraz 15 tys. kart zaopatrzeniowych.

Przed dwoma laty w jednym z przybytków łódzkiej gastronomii ujawniono kilkanaście tysięcy sfałszowanych odcinków na posiłki regeneracyjne wykupywane przez zakład pracy. Kto nie zjadł obiadu mógł w zamian otrzymać np. wędliny czy inne artykuły żywnościowe. Bony te podrabiano za pomocą kserografu i małoformatowej maszyny offsetowej.

Odprężenie polityczne zaowocowało fałszywymi zaproszeniami przeważnie do Austrii i RFN, podrobionymi w Polsce i poza naszymi granicami. Wzrosła też znacznie liczba podrobionych paszportów i książeczek walutowych.

Dzisiaj płyną przez Polskę na Wschód samochody skradzione w RFN, Skandynawii i innych zachodnich krajach, a wraz z nimi sfałszowane dowody rejestracyjne oraz dokumenty związane z zakupem i transportem pojazdów. Dokumenty te nie są „produkowane" w naszym kraju. Są wśród nich druki profesjonalne, druki pochodzące z dużej i małej poligrafii – i tych jest większość – oraz robione metodą sitodruku, nazywane przez ekspertów „bublami".

W ciągu ostatniego pół roku przez ręce komisarza Bogdana Augustyniaka z Wydziału Techniki Kryminalistycznej Komendy Wojewódzkiej Policji w Łodzi przeszło ok. 40 „fahrzeugbrief" czyli listów przewozowych zwanych potocznie „brifami". Porównując to z liczbą skradzionych czy odnalezionych pojazdów jest to liczba stosunkowo niewielka. *„Wynika to głównie z tego* – mówi komisarz Bogdan Augustyniak – *że celnicy nastawieni jedynie na pobieranie cła nie są po prostu zainteresowani ich wychwytywaniem"*. Najczęściej sfałszowane „brify" trafiają do policji wtedy, gdy odbiera ona kradziony samochód. Tracąc kilkadziesiąt milionów właściciel pokazuje zazwyczaj jako dowód legalnej transakcji sfałszowany dokument.

Kupując zachodni samochód warto zatem wiedzieć, że każdy pojazd musi posiadać duży „brif". Jest to jedyny oficjalny dokument i bez niego nie wolno kupować auta. Autentyczne „fahrzeugbrify" posiadają znak wodny przedstawiający stylizowane godło niemieckie; wypisywane są wyłącznie na komputerze, zaś podrabiane zawsze na maszynach; na oryginalnym papierze w naturalnym świetle widoczne są czerwone niteczki natomiast w promieniach ultrafioletowych niebieskie.

Często „fahrzeugbrify" są autentyczne, zaś fałszerze podrabiają na nich datę produkcji pojazdu. Dzięki temu nabywcy płacą na granicy cło niższe o kilka milionów. Mała rzecz a cieszy...

Problem z polskimi kartami rejestracyjnymi, a także prawami jazdy polega na tym, że są to w większości dokumenty autentyczne pochodzące z włamań do Wydziałów Komunikacji, natomiast podrobione są na nich pieczątki i pieczęcie.

Pomysłowość fałszerzy wydaje się być nieograniczona. Eksperci z Wydziału Techniki Kryminalistycznej wykonują rocznie około 300 ekspertyz dokumentów. Zajmują się identyfikowaniem podpisów, pisma ręcznego i maszynowego, pieczęci, datowników, stempli; odczytują teksty usunięte, zalane lub zniszczone w inny sposób; rozgryzają najróżniejsze fałszerstwa techniczne, począwszy od banknotów i wszelkiego rodzaju dokumentów po recepty, losy loterii, bony, bilety wstępu a nawet delegacje służbowe, co zdarzyło się kiedyś np. pracownikom Textilimpexu-Tricotu.

Wiele ułatwiamy fałszerzom sami. Rosnąca inflacja spowodowała np. że banknot 200 tys. złotych opracowano pośpiesznie i zdecydowano się go wydać bez ochronnego znaku wodnego. Dzięki temu fałszywe banknoty pomnażono metodami drukarskimi, wykonywano na japońskich czy angielskich kserografach dających barwne odbitki. Zdarzały się także banknoty odbijane na kserografach polskich czy też podrabiane chałupniczo z zastosowaniem popularnego sitodruku, a nawet rysowane ręcznie.

W pracowni badań dokumentów w Komendzie Wojewódzkiej Policji w Łodzi znajduje się dzieło pewnego łodzianina, który z tysiączłotówek usiłował stworzyć banknoty o nominale dziesięciokrotnie wyższym, naklejając na nich cyferki wycięte z innych banknotów o nominale tysiąca złotych. Żaden z przytomnych na umyśle Polaków nie dałby się zwieść, ale przecież na polskich bazarach i ulicach roi się od handlarzy innych nacji.

„Problem dwusetek mamy już za sobą, bowiem kończy się właśnie wycofywanie ich z obiegu – mówi nadkomisarz Andrzej Safianowski. – *Banknoty o nominałach pięćdziesięciu, stu i pięciuset tysięcy są produkowane w Państwowej Wytwórni Papierów Wartościowych na nowoczesnych zagranicznych urządzeniach. No i mają znak wodny, a z nim fałszerze zawsze mieli dużo problemów i nigdy nie udało się im go udanie odtworzyć chałupniczymi metodami. Imitowali ów znak z pomocą tłustych substancji albo używali spreparowanych przez siebie farb, które nanosili na banknoty poprzez szablon wycięty na wzór godła względnie znaku związanego tematycznie z portretem widocznym na awersie podrabianego banknotu. Ostatnio jednak pojawiły się w kraju sfałszowane pięćsetki, lecz do łódzkiej pracowni jeszcze nie dotarły"*

Eksperci dokumentów twierdzą, że z podrobionymi polskimi środkami płatniczymi mają do czynienia rzadko. Około 80 proc. sfałszowanych walut obcych tradycyjnie stanowią „zielone". Nie brakuje nabitych w butelkę ofiar tzw. „przewalanki" oraz posiadaczy banknotów kupionych poza bankiem albo kantorem wymiany walut. (Ostatnio nie są pewne także zakupy w kantorach. Jak poinformował nas jeden z właścicieli kantoru – nazwisko i imię do wiadomości redakcji – w niektórych kantorach w naszym mieście nie zatrzymuje się fałszywych dolarów, lecz puszcza dalej w obieg.)

Tu metoda fałszerska jest niezmienna od dziesięcioleci, polega ona na przerabianiu autentycznych banknotów, zwykle o nominale jednego albo dwóch dolarów. Poprzez manipulację zwaną „skrobanką", uzyskuje się banknoty wartości 50 lub 100 dolarów. Fałszerze bez szczególnej czci odnoszą się do portretów prezydentów zdobiących banknoty o różnych nominałach. Na większości falsyfikatów przerabiane są tylko oznaczenia cyfrowe i literowe. Na innych fałszerze dodatkowo czynią drobne „charakteryzacje". Wykorzystanie żyletki i tuszu sprawia, że np. Washington obecny na do-

Cd. str. 7

UWAGI SCEPTYKA

Restauratorzy

Po raz pierwszy terminem restauracja (łac. odnowienie, przywrócenie) posłużył się niemiecki historyk Karol Ludwik Haller w dziele „Restauration der Staatswissenschaft", które zostało opublikowane w latach 1820-1826. Oznaczał on przywrócenie dynastii Stuartów w Anglii w 1660 r. kończące rewolucję angielską oraz przywrócenie Burbonów we Francji po klęsce Napoleona w 1815 r. Od tego czasu restauracja jest powszechnie przyjętym określeniem postrewolucyjnych procesów historycznych i społecznych, zmierzających do przywrócenia w danym systemie społecznym status quo ante, czyli starego porządku politycznego sprzed rewolucji. Jest zatem restauracja próbą restytucji dawnego ustroju politycznego, ekonomicznego i społecznego, który w pewnym momencie został gwałtownie, drogą rewolucyjną obalony.

Myślę, że od pewnego czasu w Polsce mamy również do czynienia, aczkolwiek może niezbyt konsekwentnie i energicznie z procesem restauracji, to znaczy po upadłości systemu realnego socjalizmu obserwujemy próby odbudowy porządku poprzedzającego wybuch II wojny światowej. Symptomami tego są rozliczne usiłowania bezkrytycznej gloryfikacji Polski międzywojennej, odradzanie się ruchów i partii politycznych obecnych na ówczesnej scenie politycznej, a nawet, tak jak to niedawno uczynił w telewizji jeden z liderów KPN Krzysztof Król, wyciąganie z mocno już zakurzonej przeszłości koncepcji Polski jako państwa międzymorza, czyli sięgającej od Bałtyku po Morze Czarne. Nawet niektóre współczesne kariery polityczne jako żywo przypominają karierę Nikodema Dyzmy opisaną przez Tadeusza Dołęgę-Mostowicza.

Warto przy tym dodać, że w niektórych krajach Europy Wschodniej spekuluje się o powrocie monarchii (Bułgaria, Rumunia), a w Rosji można zaobserwować odradzanie się kultu cara – dobrego władcy i ojczulka poddanych. Zresztą, choć niezbyt liczni, monarchiści i w Polsce dają znać o sobie całkiem serio głosząc potrzebę ustanowienia dziedzicznego urzędu króla jegomości. W sposób uproszczony publicyści, ale i ludzie polityki ze swadą wywodzą (ciekawe, czy w to wierzą?), że komunistyczny epizod w najnowszej historii powszechnej i historii Polski uznać należy za niebyły i przywrócić porządek obalony w Rosji w 1917 r., a w Polsce po 1945 r. Czy jest to możliwe i realne?

Stary, mądry filozof Heraklit z Efezu już przed wiekami zauważył, że nie można wejść dwa razy do tej samej rzeki, że wszystko płynie, zmienia się i czasu, który przeminął nie da się przywrócić. Tę skądinąd oczywistą konstatację usiłują zanegować nasi współcześni, domorośli historiozofowie. Tymczasem wystarczy choćby przypomnieć, że narzucona Francji po klęsce Napoleona restauracja burbońska nie była w stanie cofnąć zdobyczy rewolucji umocnionych i ustabilizowanych w okresie Cesarstwa. A jeśli nieco uważniej wczytać się w podręczniki historii, to nieodparcie nasunie się wniosek, że zatrzymanie lub zawrócenie biegu dziejów skazane jest na niepowodzenie, mimo iż można przytoczyć wcale liczne przykłady takiego właśnie postępowania. Najnowsze wydarzenia za naszą wschodnią granicą ukazują, moim zdaniem bardzo wyraźnie, że ani restytucja totalitarnego systemu komunistycznego nie jest możliwa, choć zapewne są jego zwolennicy, ani restytucja monarchii czy nawet republiki powstałej w wyniku obalenia caratu.

W „Człowieku zbuntowanym" Albert Camus wyraził, jak sądzę, interesującą myśl, że *„tak jest z każdą rewolucją: gdy rządząca dotąd kasta zostaje zlikwidowana, nadchodzi czas, kiedy sama rewolucja budzi bunt, który wyznacza jej granice i ukazuje szanse klęski. Rewolucja na początku pragnie zaspokoić ducha buntu, z którego się zrodziła, potem musi negować, żeby się utwierdzić"*. Z tej to negacji wyrasta dążenie do restauracji, albo do nowej rewolucji. Każda epoka ma swoje grupy niezadowolonych, tylko że jedni z nich myślą o utraconej przeszłości i podejmują próby jej wskrzeszenia, a inni niezadowolenie wyrażają w konstruowaniu planów nowych warunków życia zbiorowego.

Z niepokojem i wątpliwościami przyjmuję wszelkie próby restauracji, obojętne, czy podejmują je sentymentalni zwolennicy międzywojnia, czy też, jak to obecnie straszy się społeczeństwo, że odbudowy realnego socjalizmu chcą podjąć się przyczajeni funkcjonariusze tego obalonego systemu. Jedne i drugie są skazane na niepowodzenie. Ale jednocześnie w tej wielkiej sztafecie pokoleń, jaką jest historia, nic nie przemija bezpowrotnie i nic nie da się zatrzymać na stałe. Idee i wartości tępione, bynajmniej nie zanikają, tak jak idee i wartości agresywnie upowszechniane nie stają się jedynymi, mimo oficjalnego ich uznawania i narzucania społeczeństwu.

Nie ma jednej i niezmiennej prawdy, choć ostatnio usilnie starają się nas o tym przekonywać ludzie z kręgów konfesyjnych. Nie ma jednej i niezmiennej prawdy, poza elementarnymi wartościami ogólnoludzkimi, która byłaby dobra na każdy czas i każde miejsce. Przekonani o tym są niepoprawnymi dogmatykami i nieważne, czy lokują się oni na prawicy lub na lewicy.

Jako społeczeństwo wciąż uwikłani jesteśmy w przeszłość, spory i emocje, nie tylko u historyków, wywołują wydarzenia sprzed lat kilkudziesięciu i więcej, a tymczasem ucieka nam świat, do którego aspirujemy. Epatujemy się wygraną wojną przed ponad siedemdziesięciu laty, rozgrzebujemy mogiły i odkurzamy anachroniczne poglądy, kiedy narody, którym zazdrościmy i sprawnych systemów władzy, i dobrej gospodarki, i osiągniętego poziomu zdobyczy cywilizacyjnych praktycznie znajdują się już w XXI wieku.

Jan Wolborski

PREZENTACJE

Andrzej Wojciechowski

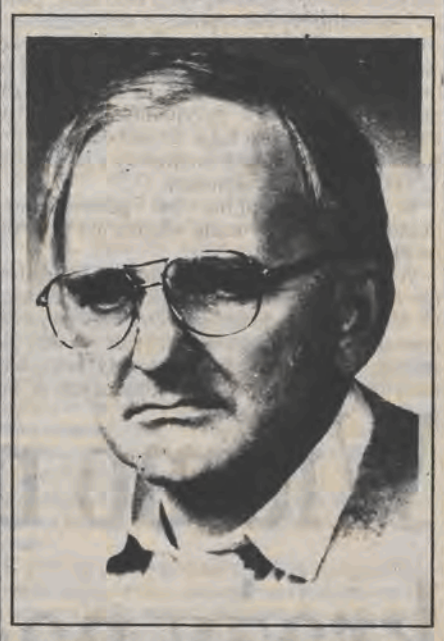

Urodził się w Łodzi, w tramwajarskiej rodzinie z dziada pradziada i gdyby nie okupacja, pewnie dążyłby do podtrzymania tradycji. Ale trudne czasy nie sprzyjały takim planom.

Kiedy skończyła się wojna miał piętnaście lat, zaliczone dwie klasy szkoły podstawowej i marzył o wstąpieniu do milicji. Ale kiedy przedstawiciel ludowej władzy ukradł mu rower, szybko się wyrzekł myśli o takim mundurze.

Mimo braku formalnych świadectw posiadał chyba jakąś wiedzę, skoro przyjęto go od razu do drugiej licealnej szkoły im. Piłsudskiego. Znał głównie „Ogniem i mieczem", ulubioną lekturę dziadka-Kozaka, który opowiadał książkę tyle razy, aż Andrzej nauczył się jej niemal na pamięć. Był zdziwiony, że to tylko część trylogii i zachłannie przeczytał pozostałe tomy.

W 1950 r. uzyskał maturę i rozpoczął studia na filologii rosyjskiej, ale prawdziwą jego pasją była trąbka. Nauczył się gry na tym instrumencie jeszcze w szkole, był członkiem orkiestry dętej, a gdy w r. 1947 zawiązał się przy YMCA „Klub Melomanów" zaczął ostro ćwiczyć jazz. Prezesem był Janusz Cegiełła, wspierali go w działaniach Marek Sart, bracia Suchoccy i inni dobierani chłopcy tacy jak Trzaskowski, Sobociński, Matuszkiewicz. Same, głośne dzisiaj nazwiska. Ale jazz to był amerykański wymysł, zdegenerowana muzyka imperialistów, a czasy już się zrobiły bardzo socjaldemokratyczne, więc „Klub Melomanów" zamknięto, a YMCA zlikwidowano. Nie dość, że skrót był angielski, to jeszcze głosił niebezpieczną prawdę: Chrześcijańskie Stowarzyszenie Młodzieży Męskiej. Cóż z tego, że organizacja miała charakter protestancki, skoro sprzyjała religijnym przesądom.

Tęsknoty artystyczne pozostały i Andrzej Wojciechowski zaczął studiować w Szkole Filmowej, co prawda na wydziale organizacji produkcji. Uzyskał tam dyplom w 1956, w samą porę, aby się załapać w powstającej właśnie telewizji.

Muzie szklanego ekranu poświęcił cztery lata życia, a potem zabrał się do niszczenia prowincjonalnych gazet. Powierzono mu kierowanie „Wiadomościami Kutnowskimi", które były mutacją „Ziemi Łęczyckiej". Macierzysta gazeta miała 2 tys. nakładu, a odrośl Wojciechowskiego 9 tys. Nic dziwnego, że centrum przegrało.

Potem przyszedł czas na pracę w gazecie zakładowej „Poltexu" która szeroko zasłynęła drukując statut „Solidarności" jeszcze przed rejestracją związku w 20 tys. nakładu.

Ale w stanie wojennym, kiedy reanimowano „Kalejdoskop", podjął się jego redagowania. Wkrótce zdradził miesięcznik na rzecz własnego wydawnictwa, które nosi nazwę AWO-PRESS. Jego oficyna opublikowała na zlecenie trzy tomy poezji, wydaje też jedyny polskojęzyczny przegląd ewangelicki „Słowo i Myśl". Gazeta ta, dla wiernych wyznania luterańskiego, ukazuje się już trzy lata i jest czytana nie tylko w Polsce, ma wielu prenumeratorów także w Czecho-Słowacji oraz w Niemczech.

Andrzej Wojciechowski poniechał już czynnego uprawiania muzyki, choć ma wciąż w domu trąbkę i skrzypce przyzwoitej, czeskiej roboty. Są do sprzedania, bo na stare lata trąbi już wyłącznie wódkę i to w ograniczonych ilościach. Niestety.

Na lato wyjeżdża pod Gostynin. Na wilegiaturze ma sporo czasu, który zabija pisaniem opowieści myśliwskich. Pierwsze utwory z tego cyklu drukował przed laty w „Odgłosach", zdobywał za nie także nagrody „Łowcy Polskiego".

Ostatnio zaczął działać także w reaktywowanej właśnie YMCA. Cóż z tego, że wyrósł już z krótkich portek. Młodość jest kategorią świadomości i woli. A on czuje się mimo wszystko młody. W końcu Biblia opowiada o ludziach, którzy żyli kilkaset lat, czym więc jest jego sześćdziesiątka, a czytanie Biblii to jeden z podstawowych obowiązków ewangelika.

K.F.

Sędziejowice: – Gdyby wszyscy tak myśleli i postępowali, to trzeba byłoby powiesić się!

Widmo nienawiści krąży nad gminą

Na skrzyżowaniu dróg, w środku wsi Sędziejowice, handlują Rosjanie, którzy tu dotarli wołgą. W kiosku spożywczym cudzoziemskie sery, choć gmina to rolnicza i własne sery posiada. Jest tu tak jak wszędzie. Również niebezpiecznie i dlatego właścicielki baru „U Kaśki" trzymają dla samoobrony gazową broń pod ladą. Daleko one odbiegły od typowego wyobrażenia o wiejskiej kobiecie. Są młode, efektowne, energiczne i mają nową receptę na życie. I na prowadzenie knajpy też. Pijacką, obskurną melinę zamieniły w przyjemny lokal, gdzie kawa za 1.200 zł jest taka, że nieboszczyka postawi na nogi, a brizol wieprzowy z jajkiem za 12.000 zł zajmuje cały talerz.

W Sędziejowicach też – jak i gdzie indziej – demokratycznie wybrana władza ma przeróżne kłopoty.

W czasach komuny Sędziejowice kilkakrotnie zajmowały czołowe miejsce w konkursach na Mistrza Gospodarności. Dziś można zastanawiać się, czy owa sława była rzeczywiście zasłużona. Niemniej jednak powstały: kompleks budynków Zespołu Szkół Rolniczych w Sędziejowicach, szkoły podstawowe w gminie, Gminny Ośrodek Zdrowia w Sędziejowicach i Wiejski Ośrodek w Marzeninie, 10 klubów wiejskich oraz świetlic, stadion i pawilon sportowy też w Sędziejowicach oraz wodociągi w Sedziejowicach, Kozubach, Grabicy, Podulach, Rzeskach i Kolonii Sędziejowice. Są, stoją i widać je gołym okiem, jak również gołym okiem widać wybudowany w latach osiemdziesiątych nowy kościół.

W Sędziejowicach – jak wszędzie – upadła komuna. „Solidarność" zorganizowała się tu przed czerwcowymi wyborami w 1989 roku. Powstał Komitet Obywatelski. Wygrała drużyna Lecha Wałęsy – jak wszędzie. Społeczność Sędziejowic zaktywizowała się politycznie, a Komitet Obywatelski co czwartek po południu zwoływał zebrania. Przyszły wybory samorządowe i Komitet Obywatelski na 23 miejsca w Radzie Gminnej 13 obsadził swoimi ludźmi. Ale już wybory prezydenckie „Solidarność" przegrała. Pierwszą i drugą turę wygrał tu Stan Tymiński. Kto wie, czy nie dlatego, że w tym czasie w Sędziejowicach trwała już

wojna na dole

Co się stało? Co mówią ludzie w Sędziejowicach? Słuchałyśmy różnych opinii. Oto ich zapis.

Leszek N., dziś odsunął się od działalności politycznej: – *Współpraca skończyła się, gdy nowa ekipa, która wydostała się na górę na plecach naszego Komitetu Obywatelskiego, obsadziła w gminie kluczowe stanowiska. Gminą dziś rządzą dwie osoby: Krzysztof Górski – przewodniczący Rady Gminnej w Sędziejowicach i delegat na Sejmik Samorządowy w Sieradzu oraz wójt Jolanta Leśkiewicz – protegowana na to stanowisko przez Krzysztofa Górskiego. Oboje należą do Porozumienia Centrum i będą ubiegać się o mandaty w parlamencie. Pani wójt chce zostać posłem a pan przewodniczący senatorem.*

W Sędziejowicach od 1983 roku buduje się Gminny Ośrodek Kultury. Nowej władzy zarzuca się, że nie zrobiła remanentu, nie przejęła protokolarnie budowy i jej majątku. A tam – według opinii niektórych mieszkańców Sędziejowic – są braki.

Leszek N.: – *Budowę ledwo podciągnięto do połowy a brakuje już 132 ton cementu, 85 metrów sześciennych desek, 57 sztuk okien, 26 ton stali zbrojeniowej, 97 metrów sześciennych żwiru, 310 kg gwoździ.*

Ludzie podają dokładne dane, potrząsają dokumentami, ale na pytanie: – *kto kradł?* – milkną. Domy w Sędziejowicach zdarzają się piękne, a nawet okazałe. Można podejrzewać każdego. Podejrzewać, to mało, trzeba mieć dowody. Plotka potrafi być bronią skuteczną, ale i obosieczną.

Ludzie mówią na przykład, że gminą Sędziejowice nadal rządzą komuniści i nic się pod tym względem nie zmienia. A tak konkretnie? – *No, podobno pani wójt pod koniec lat osiemdziesiątych kandydowała do PZPR.* – Ludzie powiadają też, że pani wójt zwolniła z pracy Jadwigę Z., bo ta nigdy nie należała do tej partii.

Co na to Jadwiga Z.?

– *Pani wójt* – mówi Jadwiga Z. – *nie dała mi żadnej szansy. Mam małe, dwupokojowe mieszkanko w starym domku po rodzicach. Mam dwoje dzieci: córka lat 13 i synek 4.*

Byłyśmy w domu u pani Jadwigi Z. Jest tam biednie.

– *Jak może być?* – mówi. – *Żyję z zasiłku. Dorabiam, co prawda, jako pośrednik „Westy", ale nie są to wielkie pieniądze. Największą sumę, jaką udało mi się zarobić w „Weście" w lutym tego roku, to było 800 000 złotych. Do Sędziejowic sprowadziłam się w 1987 roku. Przedtem pracowałam w fabryce samochodów w Nowych Tychach. Tam byłam działaczką „pierwszej" Solidarności. Pracę w Gminie w Sędziejowicach rozpoczęłam jako inspektor do spraw ewidencji ludności w maju 1987 roku. Miałam zatarg z sekretarzem gminy, który usilnie namawiał mnie do wstąpienia do PZPR. Żeby mieć święty spokój zapisałam się do ZSL. Po pół roku urodziłam syna i przeszłam najpierw na urlop macierzyński, a następnie wychowawczy. Gdy urlopy się skończyły, chciałam wrócić do pracy, ale okazało się, że już nie ma dla mnie miejsca. Każde moje podanie było załatwiane odmownie, a pani wójt nie dała się przekonać, że jako jedyna żywicielka rodziny bez pracy nie dam sobie rady. Próbowałam przekonać radnych gminy, walczyłam o byt dla swoich dzieci, przedstawiałam swoją sytuację na sesjach Rady Gminnej, bez skutku. Radni okazali się dziwnie bezsilni wobec decyzji pani wójt. Nie pracuję i nie mam szans na pracę w Sędziejowicach. A w ogóle w naszej gminie, gdy pani Jolanta Leśkiewicz została wójtem, a pan Krzysztof Górski przewodniczącym Rady Gminnej, dzieją się różne cuda.*

Co ludzie mówią o tych cudach?

Ludzie, jak ludzie, albo nic nie mówią, wzruszają tylko ramionami, bo władza, to władza i żadnej władzy lepiej się nie narażać. Żeby coś załatwić trzeba iść do gminy, więc lepiej o gminie mówić albo dobrze, albo wcale. I ludzie milczą. Ale nie wszyscy.

– *Widziały panie te samochody, którymi rozjeżdża się pani wójt.*

Nie widziałyśmy, bo niby jak. Słuchałyśmy zatem uważnie.

– *Najpierw był polonez, a teraz to już nawet nie wiadomo, jakimi samochodami jeździ pani Jolanta Leśkiewicz. A jeździć lubi szybko, to i już kilka wozów rozbiła. O benzynę nie musi się martwić, bo ma udział w spółce, która buduje stację benzynową w Lichawie. Oboje z panem Krzysztofem Górskim mają tam niejawne udziały. Jest też w niejawnym związku ze spółką pana K., który w Grabi sprzedaje zagraniczne samochody. Jest też w trzeciej spółce, która buduje elektrownię wodną w Kozubach.*

– *Wspólnie z panem Krzysztofem Górskim* – mówią inni – *zlikwidowali przedsiębiorstwo melioracyjne w Sędziejowicach. Ludzie zostali bez pracy, sprzęt się marnuje, a wodociągi zakładać będzie jakaś firma z Niemiec. Czy w Polsce nie ma przedsiębiorstwa, które zrobiłoby to dobrze i tanio?*

Ludzie podejrzewają więc, że ktoś na tym zrobił dobry interes. Kto? Jakie są na to dowody?

– *Nie wstrzymano całkiem budowy Gminnego Ośrodka Kultury, bo w części budynku szykuje się luksusowe mieszkania. Jedno dla pani wójt.*

– *To przez panią wójt dentystka musiała przenieść się do Złoczewa.*

– *Doktora O. pani wójt specjalnie upiła, żeby pijany pojechał do chorego i wpadł.*

– *W szkole rolniczej wszystko tak długo było źle, dopóki koleżanka pani wójt nie została dyrektorką.*

– *Mało im władzy w Sędziejowicach, to teraz chcą być – ona posłanką, on – senatorem.*

– *Pan Krzysztof Górski chwali się, że już w 1968 roku walczył z komuną, ale od komuny brał kredyty na gospodarstwo i ciągniki, i wtedy komuna była mu dobra.*

– *Pani wójt i pan przewodniczący dbają tylko o swoje interesy, a nie o interesy gminy.*

Są ludzie, którzy o pani wójt mówią dobrze

Ot, na przykład pani bibliotekarka: – *Teraz biblioteka w Sędziejowicach ma taki lokal, że niejedna biblioteka w Sieradzu a nawet w Łodzi mogłaby nam pozazdrościć. Do jesieni 1990 roku biblioteka mieściła się w starej szkole, gdzie sufit nam niemal spadał na głowę. Teraz dzierżawimy pomieszczenia od GS w Domu Handlowym. Mamy ponad dwadzieścia tysięcy tomów i prowadzimy małą księgarenkę. A przecież te pomieszczenia można było przeznaczyć na cele handlowe. W gminie znalazły się pieniądze na przystosowanie pomieszczeń dla celów bibliotecznych oraz na prowadzenie filii biblioteki po wsiach.*

Nasłuchałyśmy się już tyle złego i dużo mniej dobrego o pani Jolancie Leśkiewicz, że nadszedł czas, aby ją odwiedzić i zapytać o zdanie.

Jolanta Leśkiewicz jest kobietą młodą. Wiek kobiety, to zawsze sprawa kłopotliwa, ale jeśli kobieta zajmuje się polityką, to trzeba ten wiek zdradzić. Ma więc 30 lat. Jest ładna – a stwierdzają to bez żadnej zawiści kobiety – elegancka.

– *Gdyby człowiek myślał tymi kategoriami, co niektórzy ludzie w Sędziejowicach, to trzeba byłoby się po prostu powiesić* – powiedziała wysłuchawszy nas uważnie. O konflikcie z Komitetem Obywatelskim w Sędziejowicach wypowiedziała się już w biuletynie „Wiadomości o Gminie Sędziejowice". Oto fragmenty tej wypowiedzi:

„Biorąc udział w pracach Komitetu Obywatelskiego poznawałam i uczyłam się problemów mieszkańców gminy Sędziejowice. Pamiętam, że podczas spotkań sala była pełna ludzi. Gdy zostałam wybrana przez Radę Gminną na stanowisko wójta, tak naprawdę byłam sama z grupą kilku osób, które zaczęły pomagać mi w pracy, a przede wszystkim rozumiały sens moich działań. (...) Natychmiast zaczęły się donosy jednych ludzi na drugich. (...) Dowiadywałam się codziennie nowych informacji na temat pochodzenia, życia i „wartości" poszczególnych ludzi. (...) Wzywano mnie na posiedzenie Komitetu Obywatelskiego i żądano sprawozdań z mojej działalności jako wójta".

A co do niektórych zarzutów.

– *Polonez był moim prywatnym samochodem* – mówi. – *Krótko po remoncie skradli mi go podczas służbowego wyjazdu do Warszawy. Kupiłam drugi wóz. Istotnie od pana K., bo on zajmuje się sprzedażą samochodów. Ale i z tym samochodem nie miałam szczęścia. Studiuję zaocznie na Akademii Medycznej w Lublinie, 5 lipca kuzyn odwiózł mnie na sesję egzaminacyjną. Wpadła na nas łada samara. Byłam w szoku, ale wykorzystałam swoje kwalifikacje pielęgniarki i na szosie reanimowałam dziecko z samary. W szpitalu, dokąd mnie zabrano, okazało się, że miałam wstrząs mózgu i złamane żebro. Zostałam bez samochodu, a to poważne utrudnienie. Skorzystałam z uprzejmości pana K., który rozumie, że wójt nie może funkcjonować bez samochodu, a poza tym uważa, że pożyczając wójtowi coraz to inny samochód, robi dobrą reklamę swojej firmie.*

– *Nie należę do żadnej z wymienionych trzech spółek. Natomiast jest prawdą* – mówi Jolanta Leśkiewicz – *że jestem współzałożycielką fundacji budowy elektrowni wodnej w Kozubach.*

– *Nie przeczę, że w Polsce znalazłaby się firma, która wybudowałaby nam wodociąg tanio i dobrze, ale* – wyjaśnia – *niemiecka firma „Preusseg" gwarantuje nam kredyt na 7 lat przy tylko 10 procentach rocznie.*

– *Budowa Gminnego Ośrodka Kultury. Budowa nie jest wstrzymana. Uzyskałam w Ministerstwie Kultury i Sztuki 900 milionów złotych dotacji na kontynuowanie tej budowy. Nie szykuję tam mieszkania dla siebie, ale dla trójki nauczycieli i dwóch stomatologów. Wiem o tym, że tam są braki i dlatego skierowałam sprawę do NIK i prokuratury.*

– *Dentystka wyjechała do Złoczewa z powodów rodzinnych. Miała propozycję otrzymania mieszkania w Sędziejowicach.*

– *Doktor O. rzeczywiście pojechał pijany do chorego, ale pracował już wtedy w innej miejscowości.*

– *Owszem, zwolniłam Jadwigę Z., ale wójt ma prawo dobierać sobie pracowników. Zresztą zwolniłam nie tylko ją.*

– *Opinia łączy mnie z panem Krzysztofem Górskim, było napisane o tym nawet w ulotkach, które kolportował jeden z działaczy Komitetu Obywatelskiego.*

– *Cały konflikt z Komitetem Obywatelskim zaczął się od tego, że nie okazałam się posłuszna, grzeczna i nie zamierzałam iść na sznurku tego Komitetu.*

– *Członkiem PZPR nie byłam, a ksero, które puszczono w obieg, a które miało być tego dowodem, zostało sfałszowane.*

– *Komuny w gminie nie hołubię, ale i nie poluję na czarownice, w przeciwieństwie do niektórych ludzi w Sędziejowicach.*

– *Cały ten stek plotek, pomówień i fałszerstw jest brutalną grą polityczną ludzi, którzy stracili tu wpływy i nie mogą tego przeboleć.*

– *Jeśli chodzi o mnie* – powiedziała na zakończenie rozmowy Jolanta Leśkiewicz – *to czuję się, jak menedżer gminy. Jestem zadowolona z każdej ludzkiej inicjatywy, mimo różnych prób zastraszenia mnie i grożenia. Co zrobiliśmy? Telefonizacja w toku, 70 proc. wsi ma już telefony, buduje się sieć wodociągów, gmina wykupiła ziemię pod oczyszczalnię ścieków. Będzie elektrownia wodna w Kozubach. Przedszkole otrzyma nowe pomieszczenia. Otwiera się we wsiach świetlice. Myślę, że znajdą się w gminie ludzie, którzy potrafią to ocenić.*

Bogda Madej, Ewa Ostrowska

PS. Tak dzieje się nie tylko w Sędziejowicach. Niestety. Przeciwko burmistrzowi w Łasku zastosowano podobne metody. Tak to opisał „Goniec" wychodzący w Sieradzu. Burmistrz powiedział: *„Plotka. To mnie boli najbardziej. Od początku docierają do mnie pogłoski, ile budynków kupiłem, ile ziemi kupiłem, ile sklepów jest moich. A ja oświadczam, że nie przyjąłem tego stanowiska, żeby się napchać".* Burmistrz Łasku będzie ubiegał się o fotel senatora.

PS II. Cytowane w reportażu wypowiedzi nie były autoryzowane.

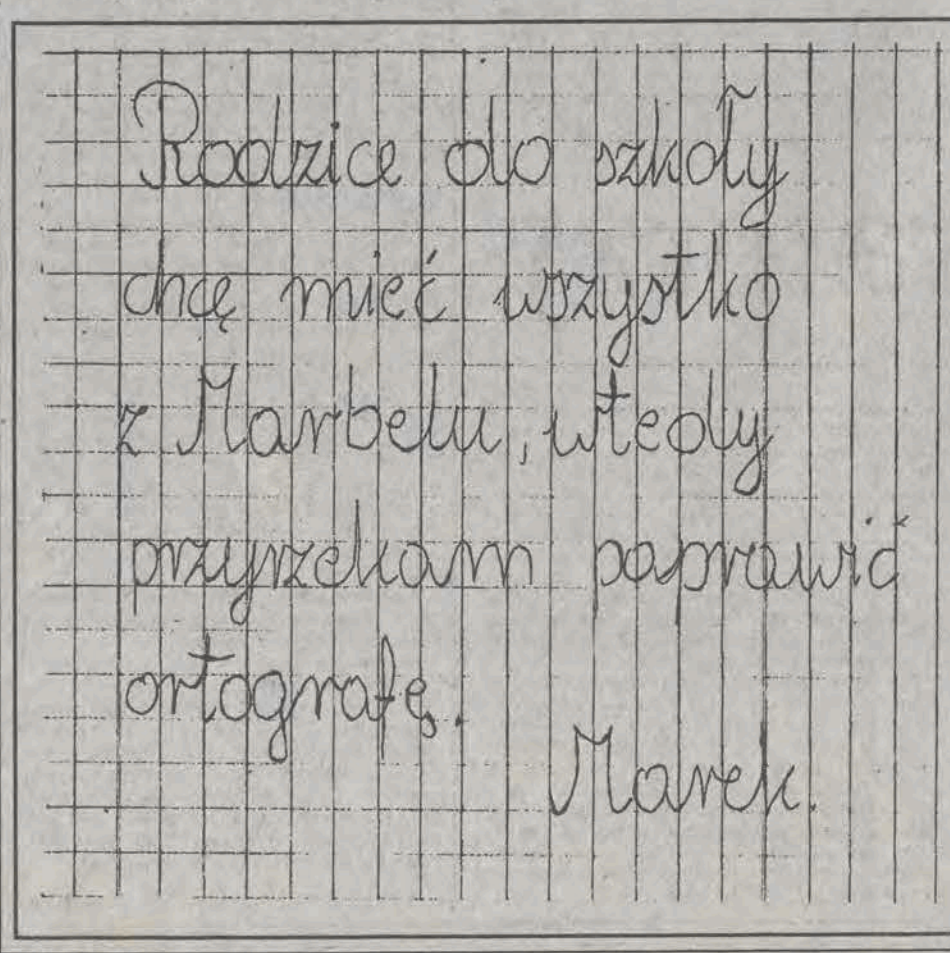

Wszystko do szkoły i do zabawy

Marbel

Łódź, ul. Brukowa 6/8
tel. 51-23-18 w. 91
51-27-95

W kolejce do życia

Operacja odbyła się w Londynie. Operowanym był chłopiec z Polski, dawcą wątroby – Niemiec, zaś chirurgiem – Chińczyk

Cd. ze str. 1

plantacja może uratować pacjenta. Prof. Jan Kuydowicz, który wyjeżdżał akurat do Lyonu, dał dr. Maciejowi Jabłkowskiemu wolną rękę.

Dr Jabłkowski wiedział, że wystarczy wykręcić numer pewnego londyńskiego szpitala, którym kierował jego znajomy dr Roger Williams, aby uzyskać znaczącą pomoc. Kings College Hospital, mieszczący się w starym, wiktoriańskim budynku, jest nowoczesną placówką leczniczą, słynie ze znakomitego personelu medycznego i najdoskonalszej aparatury. Jedno z nowych skrzydeł tej placówki otwierała królowa Elżbieta II, inne – księżna Yorku.

Dr Maciej Jabłkowski znał dobrze ten szpital. Zainteresował się nim jeszcze w studenckich czasach, jakieś czternaście lat temu. Odwiedziwszy podczas wakacji Londyn, uzyskał prawo wstępu do cieszącego się doskonałą opinią zakładu leczniczego, którego pacjentami bywają szejkowie. Brytyjczycy wykazali wiele zrozumienia dla młodego adepta polskiej medycyny i nie mieli przed nim żadnych tajemnic. Zresztą, personel tej placówki, jest tradycyjnie międzynarodowy, pracują w niej nie tylko Europejczycy, ale przybysze z Azji a pielęgniarkami są z reguły czarne dziewczyny.

Od tej pory doktor Jabłkowski wielokrotnie odwiedzał Kings College Hospital zapowiadając się za każdym razem listem, na który otrzymywał uprzejme zaproszenie Rogera Williamsa, dyrektora Institute of Liver Studies. W tym czasie, mniej więcej od początku lat osiemdziesiątych, medycyna zrobiła milowy krok w dziedzinie przeszczepów wątroby. Transplantacje stawały się z wolna rutynowymi operacjami, choć zawsze bardzo skomplikowanymi. I niestety wymagającymi ogromnych nakładów finansowych.

Przemek gasł, podtrzymywany przy życiu kosztownymi lekami, ale wyrok na niego był tylko kwestią czasu. W grę wchodziły dni, może tygodnie, wszyscy jednak zdawali sobie sprawę jak się to musi skończyć. Tylko rodzice chłopca nie tracili nadziei, kołatali do różnych drzwi. Transplantacja wątroby była wykluczona przy pustej kasie Ministerstwa Zdrowia. I wtedy zdarzył się cud. Instytucja ubezpieczeniowa, jaką jest „Westa" pod prężnym kierownictwem Janusza Baranowskiego, zgodziła się pokryć koszty operacji, rodzina Przemka posiadała bowiem polisę tej firmy.

Z takimi gwarancjami dr Jabłkowski rozpoczął pertraktacje z Kings College Hospital. Do Londynu poszybowały teleksy i faksy, należało uzyskać możliwie najwięcej informacji. „Westa" nie przestraszyła się nakładów finansowych, chociaż chodziło o dziesiątki tysięcy funtów szterlingów.

Teraz sprawy nabrały przyspieszenia. Mając zgodę na umieszczenie Przemka w Kings College Hospital, należało zorganizować przerzut pacjenta do Londynu. Wstrzemięźliwa zazwyczaj ambasada brytyjska w ciągu dnia wystawiła wizy, na wysokości zadania stanął także polski urząd paszportowy.

Chłopiec miał polecieć rejsowym samolotem. Dla LOT-u oznaczało to konieczność wymontowania czterech foteli. Dla lekarzy, odpowiedzialnych za życie pacjenta, szereg technicznych i medycznych problemów. Przeciążenia, jakie towarzyszą maszynie podczas startu i lądowania, mogły się okazać zabójcze.

Decyzję o locie podjęto w czwartek, a już w sobotę helikopter przerzucił chłopca z Łodzi na Okęcie. Była to pierwsza, stosunkowo najłatwiejsza część akcji. Dr. Jabłkowskiemu towarzyszył dr Grzegorz Kruszyński, anestezjolog ze szpitala Biegańskiego, wspólnie zmontowali specjalną aparaturę, która miała podtrzymywać kruche życie Przemka. Jego matka, Krystyna Jaroń, leciała tym samym samolotem, patrzyła im na ręce.

Wkrótce po starcie „Tupolewa" nastąpiła zapaść. Lekarze, nie tracąc ani chwili, natychmiast przystąpili do reanimacji. Z wolna wracały życiowe funkcje, dało się wyczuć słabe tętno. Napięcie sprawiło, że długi lot zdał im się chwilką.

Przy lądowaniu nie było już żadnych sensacji, chociaż wciąż istniało ogromne niebezpieczeństwo ponownej zapaści. Lekarze odetchnęli, kiedy ujrzeli czekający na Heatrow ambulans. Było jasne, że Brytyjczycy podejdą do sprawy z maksymalną powagą, ale przyjemnie było unaocznić sobie, że w międzynarodowym łańcuchu niesienia pomocy nie zawiodło ani jedno ogniwo.

Dr Williams pochwalił dotychczasowe starania polskich lekarzy. W Kings College stosowano nawet to samo, co w Łodzi, leczenie zachowawcze, które dopiero po kilku dniach zostało nieznacznie skorygowane, chłopiec zaczął otrzymywać więcej glukozy. Podczas obserwacji Brytyjczycy wykluczyli wirusowe zapalenie wątroby, przychylili się do opinii, że przyczyną niewydolności jest autoimmunologiczne zapalenie tego narządu. Przeprowadzono dziesiątki testów.

Po trzech dniach dr Jabłkowski i dr Kruszyński wrócili do kraju, pozostawiając Przemka w Kings College Hospital. Codziennie kontaktowali się z Londynem, gdzie przebywała wciąż matka chłopca, nie odstępująca od łóżka syna. Personel szpitala przywykł do jej obecności. Nie próżnowała, odwołując się do braterskich uczuć, jakie wciąż łączą emigrację z Polską. Za pośrednictwem jednej z polonijnych gazet otwarto nad Tamizą specjalne konto.

W jednym z teleksów od dr. Williamsa przyszła do Łodzi wiadomość, że chłopiec wpisany został na listę osób oczekujących na transplantację jako nr 2. Znalazł się więc na początku długiej kolejki do życia. Już samo wpisanie na tę listę stwarza poważną nadzieję, oznacza bowiem, że z medycznego punktu widzenia rokowania są pomyślne. Nie przeszczepia się narządów osobom, o których z góry można powiedzieć, że nie przetrzymają tego skomplikowanego zabiegu.

Służba zdrowia na Zachodzie dysponuje komputerowym bankiem danych o organach do transplantacji. Często narząd potrzebny do operacji znajduje się o tysiące kilometrów od miejsca, gdzie może uratować życie. Łańcuch międzynarodowej współpracy pozwala pokonać wszystkie bariery: czas, przestrzeń, przesądy i egoizm. Niemiec, Belg, Francuz czy Włoch wsiadając do samochodu zabiera z sobą często oświadczenie, że zgadza się, aby w razie gwałtownej śmierci, jego narządy użyte zostały do ratowania innych ludzi.

Wątroba potrzebna do przeżycia Przemkowi przyleciała z Freiburga, wątroba niemiecka. Chociaż mamy do czynienia z całkowitym przypadkiem, jest w tym wszakże coś symbolicznego. Wszystko zostało zorganizowane tak sprawnie, że i polscy lekarze znaleźli się na czas w Londynie. Był 1 czerwca, kiedy Chińczyk, dr Tam, ujął skalpel i zrobił pierwsze cięcie. W zespole operacyjnym, złożonym z chirurgów, immunologów, anestezjologów znaleźli się Anglicy, Szkoci, Włoszka a nawet Polka. Dr Jabłkowski i dr Kruszyński mogli obserwować zgranie i wysoką precyzję techniczną tego zespołu.

Zabieg trwał tylko siedem godzin, to znaczy stosunkowo krótko. Przy komplikacjach takie operacje potrafią przeciągnąć się do kilkudziesięciu godzin. Przeszczepy wątroby należą bowiem wciąż do najtrudniejszych, wymagają chirurgicznej wirtuozerii, do transplantacji zużywa się niekiedy dziesiątki litrów krwi. Ten miękki, bogato unaczyniony organ ma o wiele bardziej skomplikowaną budowę niż serce.

Od czasu wynalezienia cyklosporyny zmniejszyło się ryzyko odrzucenia przeszczepu przez organizm poddany transplantacji. Medycyna, niemal niepostrzeżenie, pokonała jeszcze jedną barierę, choć i wcześniej osiągnęła znaczne postępy w tej dziedzinie. Rekord przeżycia z przeszczepioną wątrobą wynosi czternaście lat, dotyczy więc przypadku, kiedy cyklosporyna jeszcze nie istniała. Na Zachodzie transplantacje stały się zabiegami rutynowymi, choć wciąż wzbudzają ogromne zainteresowanie. Decyduje chyba o tym relacja dawca-biorca, wyścig z czasem i świadomość, że dar życia opłacony został czyjąś śmiercią. Wątroby odzwierzęce są, jak dotąd, odrzucane przez ludzki organizm, medycyna nie potrafiła pokonać bariery immunologicznej.

W kilka dni po operacji stało się jasne, że Przemek wraca do życia i z oddziału intensywnej terapii przeniesiony został na zwykły oddział. Wyprowadzony ze śpiączki z wolna nabierał sił, nowa wątroba funkcjonowała bez zarzutu. Obecność matki złagodziła szok, jakim był widok czarnych pielęgniarek. Uśmiechały się do niego i powtarzały:

– *Good boy, good boy.*

Dobry chłopiec dopiero teraz dowiedział się, że przebywa w szpitalu dr. Williamsa.

Tymczasem w kraju trwały przygotowania do przetransportowania pacjenta z Londynu. Dr Jabłkowski i dr Kruszyński ponownie zmontowali aparaturę reanimacyjną. W drodze do Wielkiej Brytanii towarzyszył im prezes „Westy" Janusz Baranowski. Trzeba było zapłacić rachunki i podziękować personelowi Kings College Hospital za okazaną pomoc tym bardziej, że lekarze zrzekli się części honorarium.

Z pomocą polskiego konsula generalnego odbyła się miła uroczystość, o której pisała później brytyjska prasa, a także gazety polonijne. Kiedy do samolotu wstawiono nosze z Przemkiem, wydarzył się mały incydent. Kapitan polskiego „Tupolewa" zażądał od dr. Jabłkowskiego i dr. Kruszyńskiego, aby zapięli pasy i nie chciał przyjąć do wiadomości, że muszą znajdować się w pobliżu powierzonego ich pieczy pacjenta, groził wysadzeniem. Zapieli więc pasy pro forma, a kiedy maszyna zaczęła kołować, zanim jeszcze poderwała się do lotu, uwolnili się z więzów i zajęli miejsce na swoich posterunkach, stewardesy były wyraźnie po ich stronie. Ale tym razem interwencja lekarzy nie była potrzebna, organizm chłopca doskonale zniósł wszystkie przeciążenia. Był to jeszcze jeden dowód na to, że Przemek wraca do zdrowia.

Od kilku tygodni chłopiec przebywa w Łodzi, wciąż jeszcze w Klinice Chorób Zakaźnych profesora Kuydowicza. Wyrośnięty dryblas, jakby stworzony na koszykarza, z wolna nabiera sił. Już samodzielnie chodzi, choć daleko jeszcze do odzyskania pełnej sprawności. Czeka go rehabilitacja, najlepiej w gronie rówieśników, nie ma jednak szpitala, który chciałby wziąć sobie na głowę prowadzenie tak drogiego pacjenta. Nie jest to bynajmniej miarą egoizmu naszej służby zdrowia: placówki lecznicze nie mają pieniędzy na podstawowe leki. Warszawski Instytut Transplantologii zaofiarował się wprawdzie, że będzie dostarczał rodzinie chłopca środki farmokologiczne po wypisaniu Przemka do domu, ale koszty rehabilitacji musi pokryć zobowiązana do tego placówka lecznicza.

Toteż zarówno pani Jaroniowa jak i jej mąż są ogromnie zaniepokojeni. Chcieliby widzieć swoje dziecko zdrowe i szczęśliwe. Zdają sobie sprawę, że życzliwość wielu ludzi przyczyniła się do uratowania życia Przemkowi i że ta życzliwość ma swoje granice. Boją się jednak chwili, kiedy zostaną sami. Bo Przemek będzie wymagał szczególnej troski już zawsze.

Pamiętajmy przy tym, że problem jest znacznie szerszy niż tylko dramatyczne losy Przemka Jaronia. Niewydolność wątroby niekoniecznie musi być wynikiem autoimmunologicznego zapalenia tego narządu, co jest zjawiskiem raczej rzadkim. Czasem wystarczy spożycie muchomora sromotnikowego.

Transplantacje wątroby są zabiegiem kosztownym i w Polsce przeprowadzanym tylko wyjątkowo, a kolejka do życia beznadziejnie długa.

Konrad Frejdlich

– CONFEXIM MARKET spółka z o.o.

Szanując przyzwyczajenia, nie tracąc jednak z oczu mody światowej i zapotrzebowania rynku, stawiamy do dyspozycji Szanownych Klientów:

- **hurtownię**
  szeroki wybór atrakcyjnej odzieży importowanej,
- **dom handlowy,**
- **usługi importowe,**
- **skład celny.**

Posiadamy najlepszą obsługę, wyposażenie techniczne najbardziej znanych firm światowych, towar odpowiadający cenie pod względem jakości i rodzaju oraz możliwości finansowych kupujących.

Nasz adres:
Dom Handlowy „TEOFIL"
Łódź, ul. Aleksandrowska 38
sprzedaż detaliczna, hurtowa, usługi importowe
tel.52-71-60, 52-71-65, fax 55-71-39, tlx 88-51-62
BAZA MAGAZYNOWA I SKŁAD CELNY
Łódź, ul. Brukowa 8, tel. 51-55-16, magazyn nr 5

PRZYJDŹ, ZOBACZ, KUP! POLEĆ NAS SWOIM ZNAJOMYM!
ZAPRASZAMY

UWAGA! *– oferujemy najtańsze ogłoszenia drobne – bo BEZPŁATNE! CZYTELNIKU! Wypełnij wycięty z naszego pisma kupon i prześlij go pod adresem redakcji. Twoje ogłoszenie zostanie zamieszczone bezpłatnie w jednym z najbliższych numerów „Odgłosów". Treść ogłoszenia nie może przekraczać 10 słów.*

Kupon ogłoszeniowy będziemy zamieszczać przez najbliższe 3 miesiące

KUPON OGŁOSZENIOWY „Odgłosy" 90-113 Łódź ul. Sienkiewicza 3/5

Treść: _____

(imię i nazwisko) (adres) (telefon)

(data) (podpis)

● KUPON OGŁOSZENIOWY ● KUPON OGŁOSZENIOWY ● KUPON OGŁOSZENIOWY

Wciąż myślą o swoich dzieciach i wnuczkach, które o nich zapomniały

Spragnieni uczucia

Łódzki „Dom Włókniarza" to jeden z ładniejszych domów rencisty w Polsce. Wypielęgnowany ogródek, czysty korytarz i pokoje, zawsze gotowa do pomocy służba medyczna. A jacy są jego mieszkańcy?

– *Myli się ten, kto sądzi, że starzy ludzie to „inny gatunek" człowieka* – twierdzi dyrektorka Domu Włókniarza, Barbara Ligęza. – *Domy rencistów i domy spokojnej starości nie zamieszkują starcy. Ludzie wiekowi nie tworzą, jak sądzą niektórzy, „innej" społeczności. To całkiem normalna społeczność. Społeczność, w której żyją obok siebie ludzie uczciwi i oszuści, tzw.*

porządni obywatele i psychopaci

Słowem: ludzie starzy to MY za ileś lat...

Pani J.K. ma 80 lat, ale wygląda i czuje się na dużo mniej. Wszystkie oszczędności przeznacza na stroje.

– *Ona poluje na męża* – opowiada dyrektorka DW. – *Każdy nowy pensjonariusz płci męskiej jest dla niej potencjalnym kandydatem. Każdego nowo przybyłego poddaje swoistej obserwacji i albo „odpuszcza" go sobie, albo zabiega o jego względy.*

Jak dotąd leciwej pensjonariuszce nie udało się jeszcze wyjść za mąż, co wcale nie zniechęca jej do dalszych „polowań". Dwie inne pensjonariuszki nie tak dawno pobiły się o swego osiemdziesięciokilkuletniego kolegę. Gdyby ich w porę nie rozłączono wyrządziłyby sobie poważną krzywdę, gdyż ich walka, jak twierdzą naoczni świadkowie – wcale nie była „symboliczna". Zazdrosne rywalki są bardzo pamiętliwe. Długoletni pracownicy Domu Włókniarza twierdzą, że zdesperowane panie są gotowe zrobić wszystko, aby zdobyć upatrzonego mężczyznę i zniszczyć „tę drugą". Chwyty, jakie stosują wobec siebie są czasami „poniżej pasa": lanie wody na krzesło, podkładanie nóg, słowne obelgi, z których najczęstsze to: *„Ty stara, pomarszczona małpo"*. Pensjonariuszki są zazdrosne nie tylko o siebie, ale i o... personel. Ileż to razy pani dyrektor słyszała pełne zadowolenia stwierdzenie pensjonariuszek: *„No i co? – zmarszczek przybywa kochanej pani dyrektor, oj przybywa..."*

Śluby w domach rencistów nie zdarzają się zbyt często, ale też nie są niczym niezwykłym. Stary człowiek też chce kochać i być kochanym, boi się samotności.

– *Nigdy nie spotkałam tak pięknej miłości dwojga ludzi jak tutaj* – wzrusza się pani dyrektor. – *Siedemdziesięciokilkuletni, półgłuchy pan ożenił się ze starszą od siebie o 6 lat, chorą na serce pensjonariuszką. Ona przynosiła mu śniadanie do łóżka, a gdy leżała w szpitalu on biegał do niej codziennie z naręczem kwiatów. Ich wzajemna troska i ciepło, jakim się obdarzali robiły ogromne wrażenie na wszystkich.*

Zdarzają się też w ośrodku rozwody, a nawet demonstracyjne sceny zazdrości.

– *W ludziach starych ujawniają się wszystkie nasze słabostki w trójnasób.* – Mówi dyrektorka DW. – *Oni są nadwrażliwi, reagują zbyt jaskrawo, przeżywają wszystko zbyt mocno. Starszemu człowiekowi bardzo łatwo sprawić ból. U niektórych odzywają się nawet ukryte dotąd charakteropatie.*

Pan J.W. pała gorącą miłością do dyrektorki ośrodka. Mimo swoich 80 lat, pisze do niej płomienne listy i długie, romantyczne poematy:

Każdemu wolno kochać

(...) Pragnę się czołgać do Twych pięknych nóżek,
Ale daleko mieszkasz, aż na Dąbrowie,
Jeżeli mi pozwolisz całować Twe nóżki,
To pójdę na rękach i głowie!!! (...)

Na równi z dyrektorką J.W. darzy gorącym uczuciem pracownicę socjalną ośrodka, Danutę Nowak. Jej również nie skąpi miłosnych wyznań, o niej również – jak zapewnia – „śni po nocach":

Czemu, ach czemu masz kamienne serduszko?
A może kochana Danusiu Ty nie masz duszy?
Czy moje uczucia nic Tobie nie mówią?
Przecież piękna miłość nawet skały skruszy!!! (...)

Nie otrzymując od swej wybranki żadnych dowodów wzajemności urażony w swych uczuciach dziadek przeszedł od miłości do nienawiści. Listy miłosne przeplata coraz częściej pogróżkami:

„Ostrzegam panią (...) złożę na panią ostre zażalenie i udowodnię ze świadkami, że pani jest (...) największym złodziejem i zażądam pani zwolnienia, a drugi powód: jest pani komunistyczny złodziej i wróg Solidarności, a przyjdzie tutaj dyrektor z Solidarności to pierwszą panią każe zwolnić!"

(We wszystkich fragmentach została zachowana oryginalna pisownia)

– *To smutne* – mówi Danuta Nowak – *ale ten człowiek pisze na mnie i panią dyrektor skargi do różnych instytucji. Oskarża nas o wszystko co tylko możliwe, a nie zorientowane w sprawie instytucje przysyłają komisje w celu sprawdzenia przedstawionych przez niego „faktów".*

Jak w każdej społeczności, tak i wśród osób starszych znajdują się ludzie o silniejszej i słabszej osobowości, osoby o cechach przywódczych, a nawet o skłonnościach do terroryzowania otoczenia.

– *Na terenie naszego domu działają swoiste kliki, a nawet zwalczające się nawzajem*

mafie

– mówi dyrektorka ośrodka. – *Byli AK-owcy serdecznie nienawidzą się z byłymi UB-ekami, czy AL-owcami. Przeciwnicy jakiegoś pisarza nawołują do bojkotowania wieczorku kulturalnego z jego uczestnictwem, a swoich opozycjonistów zastraszają. Kiedyś przyszła do mnie jedna z pensjonariuszek ze skargą, że pan X ją prześladuje. Kiedy chciałam interweniować, przestraszyła się: „Nie! Proszę, niech pani tego nie robi, bo to jeszcze gorzej, on się będzie mścić...*

Nie wszyscy dali się zastraszyć, ani bezkarnie obrażać. Osiemdziesięciokilkuletni pensjonariusz miał kolegium za słowne obrażenie swojej równie leciwej sąsiadki. Na kolegium przyznał:

– *Nazwałem tę panią dziwką, ponieważ na to zasługuje!*

– *Wspólny dom chroni tych ludzi od samotności* – mówi dyrektorka – *Tu znajdują swoje sympatie i antypatie, przyjaciół i wrogów, słowem – mają możliwość żyć tak, jak żyli zawsze. Podczas gdy w swoich rodzinnych domach niejedokrotnie wegetują,*

czekając na śmierć

Pani A.W. ma 75 lat.

– *Bardzo się cieszę, że tu jestem.* – mówi. – *Od śmierci męża czułam się bardzo samotna. Nie mam dzieci ani nikogo bliskiego. Tu znalazłam przyjaciółki. Żałuję, że nie przyszłam tu wcześniej.*

Jedna z przyjaciółek pani A.W. ma 90 lat i chore nogi.

– *Mam dwie córki* – opowiada. – *Jedna z nich mieszka w Warszawie. Gdy tylko lepiej się czuję, jeżdżę do Warszawy. To jedyna możliwość, żeby zobaczyć córkę...*

Nogi z wiekiem coraz bardziej dokuczają pensjonariuszce.

Ostatnio wzięła na nie 20 zastrzyków.

Po zastrzykach jest dużo lepiej – cieszy się – *to dobrze, bo już stęskniłam się za córką.*

Pani B.G. wykształciła dwóch synów. Obaj zajmują wysokie stanowiska.

– *Dopóki miałam siły zajmować się domem wszystko było w porządku* – opowiada. – *Wychowałam synowi dwoje dzieci, prałam, sprzątałam, gotowałam. Teraz, gdy wnuki podrosły, a ja nie mam już tyle sił co dawniej, syn uznał, że jestem już niepotrzebna...*

– *Każdy z tych ludzi to osobna tragedia* – mówią pracownicy Domu. – *Tylko bezdzietni mogą mówić o „szczęściu"; ich przynajmniej nikt nie porzucił, nie uznał, że są dla niego bezużytecznymi przedmiotami, które należy wyrzucić na śmietnik.*

Starsi ludzie żyją problemami rodzinnymi, wciąż myślą o swoich dzieciach, wnukach, bardzo mocno przeżywają ich kłopoty i niepowodzenia. To smutne, ale w większości przypadków owe „dzieci" wcale na to nie zasługują.

Pani A.K. ma cały pokój ozdobiony zdjęciami dzieci i wnuków. – *Tak bardzo tęsknię za wnukami* – mówi. – *Cały czas o nich myślę.*

One też o niej myślą – gdy potrzebne są im pieniądze. Wpadają wówczas i wyciągają resztki emerytury, jakie zostają po opłaceniu pobytu w Domu. Pewnego razu wnuk przyniósł babci jedną pomarańczę – *„Dobrego mam wnuka"* – cieszy się babcia.

Pani A.K. ma zdolności do robótek ręcznych. Całe noce robiła makatkę dla wnuczki. Włożyła w tę pracę całe serce. Gdy ofiarowała ją wnuczce, ta powiedziała:

– *I tak nie mam gdzie tego położyć.*

Serce babci omal nie pękło.

– *Starszym ludziom bardzo łatwo sprawić ból.* – mówi dyrektorka Domu – *Oni są spragnieni ciepła, uczucia, kontaktu z drugim człowiekiem. Często zdarza się, że pensjonariuszki przychodzą do nas opowiadać o swych problemach rodzinnych. Pragną, by je ktoś przytulił, pocieszył.*

Niektóre mieszkanki Domu przelały swoje uczucia z nieczułych dzieci i wnuków na personel. 84-letnia pani B.Z. mówi:

– *Pielęgniarki są takie miłe. Czasem idę do nich, żeby porozmawiać. Wolę rozmawiać z nimi niż z synem. On się zawsze spieszy...*

Gdyby nie Dom wielu pensjonariuszy nie miałoby się gdzie podziać. Dom daje im

własny kąt,

trzy posiłki dziennie, opiekę lekarską. Pensjonariusze płacą jedną trzecią faktycznych kosztów ich pobytu w ośrodku, resztę dofinansowuje ministerstwo.

– *Nasz budżet jest coraz mniejszy* – mówi główna księgowa Bożena Wesołowska. – *Obliczyliśmy, że w najbliższym miesiącu nasze wydatki pochłoną 190 milionów złotych. Tymczasem otrzymaliśmy z banku 132 miliony. Za energię elektryczną nie płacimy, bo nie mamy z czego. Właśnie „lecą" nam odsetki za ubiegły rok. Na rachunkach piszemy, że nie płacimy „z powodu braku środków". Co będzie dalej?*

Czyżby więc domy rencistów potrzebowały sponsorów?

– *Całe życie ciężko pracowałam* – mówi jedna z pensjonariuszek. – *Mąż mnie rzucił, sama wychowywałam dzieci. Dopiero teraz, tutaj czuję się szczęśliwa. Mogę wreszcie robić to, na co nigdy nie miałam czasu: odpoczywać. Mam ładny pokoik, nie muszę się o nic martwić. Nie wiem co bym zrobiła, gdybym nagle musiała wrócić tam, gdzie mieszkałam, zanim przyszłam tutaj: węgiel, zimna woda, toaleta w podwórzu... Myślę, że nie potrafiłabym już żyć nigdzie indziej.*

Magdalena Grochowalska

P.S. Inicjały pensjonariuszy zostały zmienione.

Mody na lekarstwa, podobnie jak na sukienki, bywają krótkotrwałe

Sezon na ziółka

Usuwa zawroty głowy i wzmacnia pamięć. Leczy ospę, ból zęba i wszelkie strupy. Rozpędza wiatry, pomaga przy zaparciach, ułatwia trawienie i poród. Likwiduje tasiemca, melancholię i depresję. Stosuje się go na raka, brodawki, odciski, odmrożenia i reumatyzm. Krótko mówiąc, usuwa wszelkie dolegliwości organizmu, a nawet odmładza.

Tak reklamowany jest pewien specyfik sprowadzany obecnie do Polski i sprzedawany w aptekach, drogeriach i sklepach zielarskich. W ulotce zaleca się podawać go także przy omdleniach i atakach epileptycznych, podczas gdy elementarną zasadą pierwszej pomocy jest zakaz doustnego podawania czegokolwiek osobom nieprzytomnym. Już sam ten fakt musi budzić pewne wątpliwości co do wszechstronnej skuteczności owej mikstury i jej działań leczniczych.

Bywają mody na stroje, na psy, bywają na samochody. Raz nosi się mini, raz dziurawe spodnie. W jednym sezonie gra się w tenisa, w innym wypada pokazać się w czarnym mercedesie na Riwierze. W zależności od aktualnego trendu dobrze mieć nakrapianego dalmatyńczyka lub osobisty komputer. Albo ściany mieszkania wybija się drewnem, albo zrywa boazerię i na surowym murze wiesza stylowy portret pseudoprzodka.

Mody nie omijają i rynku farmaceutycznego. Obecnie używa się ziół. Teraz wszystkim na wszystko pomagają „Melisany", „Amole", „Echinacey", wiesiołki i szwedzkie nalewki. W czołówce wciąż utrzymują się, niegdyś dostępne tylko za dolary, rozmaite „Biovitale", „Lecytyny" i „Żeńszenie".

Sezonowa popularność dotyczy nie tylko ziół, wyciągów roślinnych, witamin i preparatów dodatkowych, odnosi się to również do leków silnie działających. Lekarze mają swoje metody leczenia i preferują określone specyfiki. W momencie pojawienia się nowego leku – stare idą w zapomnienie, każda nowinka staje się sensacją. Tak było z „Voltarenem", „Biseptolem", „Vitaralem". W pewnym okresie wszyscy zażywali „Glukardiamid", a oczy leczyli „Quinaxem".

Popularność poszczególnych specyfików wzrasta w miarę ich lansowania. W Polsce zabronione jest reklamowanie leków, dopuszcza się tylko promowanie parafarmaceutyków i środków pielęgnacyjnych. Od momentu, gdy na ekranie telewizora pewna magiczna tabletka wrzucona do szklanki z „siłą wodospadu" wybieliła brudną sztuczną szczękę, w aptekach zabrakło preparatu do czyszczenia protez zębowych. Fama o cudowności kolejnych środków doskonale przenoszona jest pocztą pantoflową. Nic tak nie pomaga na dolegliwości jak specyfik, który uleczył sąsiadkę, ciocię albo daleką kuzynkę znajomej naszej znajomej.

Zdarzają się sytuacje odwrotne. Póki po kraju chodziła szeptana wieść o cudownym działaniu leków profesora Tołpy, pełni nadziei chorzy na raka wszelkimi sposobami zabiegali o preparat torfowy, gotowi zapłacić każde pieniądze choćby za popłuczyny po oryginale. Od kilku tygodni długo oczekiwany lek jest w sprzedaży, ale czy to cena (ponad 250 tys. za opakowanie), czy sceptycyzm lekarzy, prasowa dyskusja, czy wreszcie brak napisu na pudełku, że jest to lek onkologiczny – sprawiły, że środek, który dwa lata temu czynił cuda, teraz „nie schodzi" z aptek.

Mody na lekarstwa, podobnie jak na sukienki bywają krótkotrwałe. Równie szybko jak wzrastało, tak szybko gaśnie zainteresowanie kolejnymi preparatami, które z bomby sezonu zamieniają się w nadwyżkę zalegającą magazynowe półki. *„Z handlowego punktu widzenia mody na leki są zjawiskiem pozytywnym* – mówi Bożenna Nowicz, kierownik działu zaopatrzenia „Cefarmu", – *ale jako farmaceutka muszę zachować dystans. Coś, co pomga na wszystko, w gruncie rzeczy nie pomaga na nic. Myślę, że popularność pewnych zachodnich preparatów wynika z ogólnego powrotu do ziół i leczenia metodami naturalnymi. Zmniejszy się, gdy rynek zostanie już nasycony". „Zagraniczne preparaty ładniej wyglądają, są rozreklamowane, ale generalnie trzeba powiedzieć, że nasze wcale im nie ustępują"* – twierdzi Anna Rybkowska z apteki „Na Pietrynie". Zdaniem kierownika tej apteki – Wiesława Szufleta – cudowne nalewki nie wyleczą ciężkich, przewlekłych dolegliwości, ale może przy okazji poprawią komuś samopoczucie albo wzmocnią odporność organizmu. *„Najważniejsze, że pacjenci wierzą w ich skuteczność".*

W ostatnim czasie namnożyło się prywatnych importerów leków. Część preparatów (nalewki ziołowe) sprzedawane są jako artykuły spożywcze przez osoby, które nie znają się ani na lekach, ani na zasadach ich transportu i składowania. Początkowo, aby otworzyć hurtownię wystarczała zgoda na działalność handlową i zatrudnienie przynajmniej jednego farmaceuty z co najmniej 5-letnim stażem w zawodzie. Niepotrzebny był nawet lokal, niektórym wystarczał do tego celu samochód. Obecnie hurtownie zajmujące się lekami i parafarmaceutykami będą musiały mieć zgodę na działalność z Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej i dysponować pomieszczeniem o powierzchni minimum 200 metrów kw.

Każda partia importowanych lekarstw i parafarmaceutyków musi po przebadaniu uzyskać zezwolenie na wprowadzenie do obrotu, bowiem pojawiają się na naszym rynku przywożone (m.in. przez Rosjan) leki niewiadomego pochodzenia, przeterminowane i sfałszowane. Konieczny jest atest Ministerstwa Zdrowia, sama nazwa znanej firmy nie wystarczy, bo np. trafiła do Polski turecka podróbka bayerowskiej aspiryny zupełnie nie odpowiadająca normom oryginału. Przez zaufanie do producenta upadły w Łodzi dwie hurtownie, gdy okazało się, że zakupiona przez nie duża partia superzdrowej marchewki dla dzieci „Gerbera" zawierała azot.

Wszystkie apteki mają obowiązek zaopatrywać się w zarejestrowane środki farmaceutyczne i artykuły sanitarne wyłącznie w placówkach posiadających ministerialną zgodę na prowadzenie obrotu tymi środkami. Nie wolno im kupować leków nawet zarejestrowanych (np. z „Polfy") od hurtowników nie mających takiego zezwolenia. Inni handlowcy nie zwracają uwagi na drobiazgi, interesuje ich tylko obrót. Farmaceutę, poza wszystkimi, obowiązuje zawodowa etyka, która zabrania mu narażać pacjenta na kontakt z podejrzanymi preparatami. Kupując w aptece jakieś kolejne modne panaceum, mamy przynajmniej gwarancję, że jest to środek przebadany i jeśli nie pomoże, to na pewno nie zaszkodzi.

Monika Matuszak

Dziura w „Moście" (2)

Izjumow trzęsie się ze strachu, że zostanie porwany po raz drugi

Żona porwanego w Moskwie przedstawiciela na Polskę radziecko-amerykańsko-duńskiej firmy „Most" przywiozła z Warszawy okup. Mafia kazała jej zrzucić torbę z zawartością 150 000 dolarów przez okno moskiewskiego wieżowca.

Podczas gdy pułkownik S. z milicji kryminalnej i podpułkownik Ł. z KGB towarzyszyli Nataszy Izjumowej w podróży do Polski, ich koledzy w Moskwie próbowali ustalić kryjówkę, w której mafia przechowywała radzieckiego biznesmena. Izjumow przepadł jednak jak kamień w wodę. Telefon Nataszy był na podsłuchu. I oto rozległ się w nim głos jej męża: „Postaw torbę na oknie. Zgaś światło. Odczekaj minutę i zepchnij torbę w dół".

Krótka lipcowa noc

Od chwili przekroczenia granicy Polska-ZSRR Natasza miała obstawę co najmniej jak królowa brytyjska. Chłopcy ze „specnazu" w pociągu, dwaj podpułkownicy pełniący niemal rolę paziów, trzech barczystych tajniaków w domu, około dwudziestu ukrytych w różnych zakamarkach wieżowca i na podwórku, siedmiu nieco dalej. Otoczono dom i całą dzielnicę.

S. zmywał z siebie w wannie trudy podróży do Polski, a Ł. odsypiał pełną nerwów wyprawę, gdy obydwu poderwał bardzo późnym wieczorem telefon: banda odezwała się, worek zepchnięty zostanie z okna tej nocy.

S. wydał przez telefon rozkazy swoim ludziom. Ł. pojechał natychmiast pod dom Nataszy. Tym razem scena jak z radzieckiego filmu: samochód zepsuł się w drodze.

A tymczasem „specnaz" ładował broń i zajmował wcześniej ustalone pozycje. Tak zamaskowane, że chłopcy ze specjalnych oddziałów przeznaczonych do walki z mafią i terrorystami rozpłynęli się bez śladu w ciemnościach krótkiej lipcowej nocy.

Kolejny telefon do Nataszy: „Zaraz przyjeżdżamy. Jeśli nie wyrzucisz torby zwrócimy ci męża w kawałkach"

Szczęknęły zamki automatów. Padł rozkaz wyłączyć radiotelefony, którymi posługiwała się grupa w zasadzce. Żaden szmer nie mógł spłoszyć bandytów.

Noc była sprzymierzeńcem obydwu stron. Na podwórku pojawiły się trzy cienie. Oni czy nie oni? Twarzy nie można dostrzec. A jeśli to spóźnieni mieszkańcy domu? Wtedy akcja spali na panewce.

Spaliła z innego powodu. Na podwórko wtoczył się zwykły patrolowy wóz milicyjny z „kogutem" na dachu odbywający rutynową przejażdżkę po dzielnicy. Nie zauważył ani bandytów skradających się po łup, ani kilkudziesięciu ludzi z bronią w zasadzce. Powoli odjechał.

Teraz można było oczekiwać albo kolejnego dzwonka telefonicznego od mafii, albo przesyłki z poćwiartowanym Izjumowem.

Mafia miała mocne nerwy. O trzeciej nad ranem Natasza odebrała kolejny telefon: „Tak się nie dogadamy, miej pretensje do siebie". S. uznał, że zakładnika zamordują. Ł. orzekł, że będą dalej pertraktować, ale postawią nowe warunki.

Rację miał oficer KGB. Podjęto dodatkowe działania, niestety w tym miejscu znów tekst radzieckiego dziennikarza został „wydziurkowany". W jednym akapicie cenzor z KGB wyrzucił aż 14 wierszy. Ustalono, skąd dzwonił Izjumow. Z ulicznego automatu! Jak się później okazało na oczach wielu ludzi, mimo iż miał czarne plastry na oczach i prowadziło go pod pachy dwu mężczyzn! I żaden ze świadków nie domyślił się, że ma do czynienia z przestępcami? Jak to możliwe?

Ano, sprytni gangsterzy podjechali pod budkę telefoniczną przy znanym radzieckim szpitalu dla ... ociemniałych! Tam ludzie z opaskami na oczach, prowadzeni przez widzących, stanowią zwykły obrazek.

Dzień „X"

Co miał tym razem do zakomunikowania Izjumow swojej zrozpaczonej małżonce? Tylko to, że po pieniądze przyjedzie J., ich dobry znajomy. Ma mu wydać torbę, w której oprócz pieniędzy winny znaleźć się spodnie i koszula.

Nie chodziło bynajmniej o zmianę garderoby. Mafia liczyła się, że J. może zostać zatrzymany. Milicja i KGB wiedziały zaś, co im powie: o porwaniu nic nie wie, Izjumow zadzwonił do niego z prośbą o przysługę. Torbę miał zawieźć na przystanek autobusowy. I nic mu się nie udowodni.

Dziurka, dziurka, dziurka. Ustalono gdzie przechowywany jest Izjumow. Melinę zastano pustą. W tym czasie Izjumowa... wyprowadzono z niej do telefonu. Kiedy część ludzi podpułkowników S. i Ł. zajęta była obstawianiem meliny, J. jechał już po pieniądze.

Od tej chwili akcją kierował pułkownik Jegorow – szef moskiewskiej policji kryminalnej. Banda za długo już wodziła jego ludzi za nos. J. „zdjęto". Zeznał dokładnie tak, jak przypuszczano. Miał przekazać torbę pośrednikowi.

Nie przesądzając, czy J. jest członkiem bandy czy jedynie zręcznie dobranym przez nią narzędziem, postanowiono użyć go na wabia. Wydano mu torbę i kazano jechać na miejsce spotkania z pośrednikiem.

Milicja była pewna, że J. jest cały czas obserwowany nie tylko przez nią. Jak zatem wzięto J. i wykorzystano go przeciw bandzie? Dziurka, dziurka, dziurka...

Teraz sztuka polegała na tym, aby ustalić, kto w tłumie ulic moskiewskich śledzi J. oprócz KGB i milicji. I kto może śledzić... agentów tych resortów. Znów kilka dziurek.

W biały dzień, o 16.00, na wskazany przystanek autobusowy podjechała taksówka. J. przekazał kierowcy torbę. Pozwolono mu odejść, a kierowcy odjechać. Kierowcę zwinięto kilometr dalej. J. też nie wypuszczono już z garści. A z tłumu – dziurka, dziurka! – wyłuskano dwu „konwojentów" mafii. Wraz z taksówkarzem nakryto pośrednika. W sumie w ciągu kilkunastu minut w ręce KGB i milicji wpadło pięciu zamieszanych w porwanie przedstawiciela firmy „Most" na Polskę.

Rys. D. Pietrzak

Zdradziły ich... polskie pamiątki.

Wszystkich pięciu wypierało się swego udziału w wyłudzeniu okupu. Twierdzili, iż widzą się pierwszy raz w życiu. I pewnie trudno byłoby im udowodnić wzajemne powiązania, gdyby jeden z oficerów biorących udział w akcji, nie spostrzegł w czasie rewizji osobistej, że trzech z nich miało w kieszeniach kartoniki z nazwą warszawskiego hotelu, takie, jakie wydaje się dla identyfikacji gości w recepcji przy pobieraniu kluczy. Mieszkali w nim jednocześnie i... w tym samym pokoju.

Operacja zbliżała się ku końcowi.

Mafia w Polsce

Odsuńmy jeszcze nieco jej finał – wyzwolenie Izjumowa z rąk bandy. Warto bowiem posłuchać, co po rozmowie z wysokimi oficerami KGB i kryminalnej służby milicji ma do powiedzenia radziecki dziennikarz o radzieckiej mafii w Polsce.

„Uproszczenie i ułatwienie wyjazdu i wjazdu do Polski (obywateli ZSRR – R.B.) *zrodziło lawinę wyjazdów spekulantów. To wiadomo. Mniej się wie, że w ślad za handlarzami ruszyli do Polski przestępcy. Dokąd przenieśli się rodzimi biznesmeni, tam skierowali się ci, którzy ich patroszą"*

Teraz o Izjumowie. Ruble zarobione w Moskwie na komputerach sprowadzonych z Warszawy, Izjumow wymienił w Polsce na złotówki. Za złotówki kupił dolary i otworzył walutowe konto. Dowiedziała się o tym mafia. Ciąg dalszy nastąpił.

Wracam do urwanego cytatu: *„W Polsce naszych „patroszycieli" nie znają. Nie rozszyfrowali stylu ich pracy. Polska policja nie kwapi się ponadto do obrony radzieckich „turystów". Niezbyt nas kochają w byłych krajach socjalistycznych. A tym bardziej naszych spekulantów. „Niech Ruscy rozliczają się sami z sobą". I radzieccy bandyci rozliczają się z radzieckimi biznesmenami. Na obcym terytorium. Małą krwią"*

To czyta się z ciekawością. Dalej idą groźniejsze zwierzenia. Bezkarność mafii radzieckiej w Polsce pozwala jej tworzyć zakorzenione struktury. *„Z czasem wezmą się za aborygenów"* – to o nas pisze radziecki autor. – *„Kiedy miejscowa policja połapie się będzie trochę za późno"*

Przyjmijmy to ostrzeżenie. Zwłaszcza że metody radzieckiej mafii są wyjątkowo brzydkie. Studiowała je policja amerykańska. Stwierdziła, że rosyjscy gangsterzy są niezwykle brutalni, z broni korzystają bez namysłu.

Finał

Pięciu ludzi, z których trzech na pewno brało udział w radziecko-polskim rekecie, było w rękach KGB i MSW. Ale zakładnik znajdował się nadal w rękach bandy. Melina, z której go wyprowadzono, była otoczona. Ktoś musiał zrobić następny ruch.

Jakie wyjście miała mafia? Zabić Izjumowa, zwłoki zniszczyć. Wtedy nikt nie udowodni, że był w rękach mafii. Nie ma zwłok – nie ma przestępstwa.

Operację z ramienia MSW wziął teraz pod swój nadzór generał milicji Bugajew. KGB również podniosło dowódczą stawkę. Nie ujawniło jednak stopnia, nazwiska, a nawet inicjału człowieka, który wraz z generałem Bugajewem miał doprowadzić operację „Most" do finału. Może był to ów zagadkowy człowiek z wagonu nr 3 pociągu relacji Moskwa-Warszawa, o którym najmniej wiemy?

Mafia trzymała tymczasem Izjumowa w zamkniętym samochodzie, czekając na torbę z pieniędzmi. Nie wiadomo czy chciano go zwolnić czy zabić po przejęciu okupu, aby pozbyć się świadka. Kiedy gangsterzy stracili kontakt z J., pośrednikiem, taksówkarzem i dwoma obserwatorami mafii, śledzącymi J. i ochraniającymi go przed agentami policji i KGB, pod wieczór podjechali wraz ze swym więźniem do meliny. O dwunastej w nocy wyleciały z zawiasów drzwi. „Specnaz" wycelował automaty. Związany i oślepiony plastrem Izjumow usłyszał tylko, jak obok niego upadły miękko trzy ciała. Czwarty bandyta został zatrzymany w bramie.

Razem dziewięciu gangsterów potknęło się na „Moście". Izjumow został zwolniony, ale trzęsie się ze strachu, że zostanie porwany po raz drugi. Tym razem nie dla okupu. Mafia ma z nim poważniejsze porachunki. Robią w portki również pozostali biznesmeni z firmy „Most". Zapowiedzieli utworzenie fundacji, celem której będzie wspomaganie finansowe walki z zorganizowaną przestępczością. Przeznaczyli na ten cel kilkaset tysięcy rubli.

„Ciąg dalszy nastąpi" – zapowiada „Ogoniok". *„Obiecują to gangsterzy, KGB i MSW ZSRR"*. A także autor relacji, którą starałem się streścić.

Próbowałem ustalić namiary „Mostu" w Warszawie. Bez skutku. Gangsterzy je znają. Na tym więc wypada i mnie zakończyć, i śledzić radziecką prasę. Mam nadzieję, że w UOP są ludzie, znający cyrylicę i czynić będą to samo.

Ryszard Badowski

Urodzaj na fałszerzy

Cd. ze str. 3

larze, z powodzeniem gra rolę Franklina zdobiącego 100 dolarów. Tylko nieliczni wydrapują nazwiska prezydentów kreśląc piórkiem personalia tych mężów Stanów Zjednoczonych, których wizerunek znajduje się na autentycznych banknotach.

Można zaryzykować twierdzenie, że w wielu wypadkach większa wiedza rodaków o charakterystycznych cechach polskich i obcych banknotów, nie pozwoliłaby na krążenie falsyfikatów, a niekiedy nawet ułatwiałaby ujęcie fałszerzy przerabiających banknoty.

Bo z dolarami podrobionymi sprawa jest o wiele trudniejsza. Warto wiedzieć, że amerykańskie pieniądze należą do najbardziej podatnych na fałszowanie. W USA rocznie notuje się do 2 tys. odmian podrobionych pieniędzy. Rzecz polega na tym, że dwubarwne, czarnozielone banknoty amerykańskie są łatwiejsze do reprodukcji niż wielobarwne, różnorodnie grawerowane pieniądze innych państw. Do Polski napływają one z różnych ośrodków fałszerskich w RFN, Austrii, we Włoszech także z Ameryki Południowej i z Dalekiego Wschodu, zwłaszcza z Tajlandii.

Podrobione są bardzo dobrze metodami poligraficznymi. Łódzcy eksperci nierzadko udają się na konsultacje do Wydziału Badań Dokumentów CLKP w Warszawie. Dylematy badawcze można rozstrzygnąć dopiero tam, dzięki zastosowaniu specjalnych elektronicznych urządzeń.

Amerykańscy eksperci też nie zasypiają gruszek w popiele. Nieodległy jest czas, w którym banknoty o wszystkich nominałach będą miały przezroczystą poliestrową nitkę wtopioną w papier, zaś napis „United States of America" wydrukowany będzie na obrzeżu portretów prezydentów tak małymi czcionkami, że kserografy nie będą mogły czytelnie odbić liter. Spece pracują też nad ewentualnym wykorzystaniem hologramów – trójwymiarowych obrazów na banknotach, których nie będzie można sfotografować przy użyciu urządzeń poligraficznych.

Beata Kostrzewska

„ODGŁOSY"

Oferują usługi w zakresie reklam. Promocyjne ceny:

- na kolumnie ogłoszeniowej – 6 tys. zł za 1 cm²
- reklamy na pierwszej stronie – 100% dodatku
- reklama na ostatniej stronie – 50% dodatku
- reklama na pozostałych stronach 30% dodatku

Wykonujemy opracowania graficzne reklam: przy całostronicowej – 10% dodatku, przy pozostałych – 25% dodatku. Przy pięciu kolejnych ogłoszeniach – piąte zamieszczamy bezpłatnie!

Proponujemy także nowy atrakcyjny rodzaj reklamy w formie artykułów pisanych przez naszych dziennikarzy.

Ceny: **całostronicowa publikacja – 10 mln zł,**
półstronicowa – 6 mln zł,
ćwierćstronicowa – 4 mln zł

Ogłoszenia przyjmowane są w:

- „Odgłosach" ul. Sienkiewicza 3/5 XI piętro, pok. 1104, tel. 36-52-44
- „Gazecie Reklamowej" ul. Sienkiewicza 11/13, tel. 33-18-19
- AnGORZE" ul. Piotrkowska 94, I piętro, pok. 11, tel. 32-61-79
- Biurze Ogł. i Rekl. „Epoka" al. Kościuszki 41, tel. 33-23-28
- Biurze Reklam i Ogłoszeń ul. Sienkiewicza 3/5, tel. 33-11-50
- B.U.T. „Voycamp-Tour" ul. Piotrkowska 91, tel. 33-36-21

Katalog muzyki niekomercyjnej

rozmowa z IGOREM KUROWSKIM – szefem polskiego oddziału niemieckiej firmy SPV Records

– Kiedy powstała firma SPV Records i co oznacza ten skrót?

– Firma istnieje od 1984 r., a jej siedziba znajduje się w Hannoverze. SPV to skrót od „Schallplatten, Produktion und Vertrieb", co oznacza dosłownie: Produkcja i Dystrybucja Płyt. SPV to duża firma niezależna, nie powiązana z żadnym gigantem płytowym w rodzaju EMI, Arioli czy Polydoru. Zajmuje się produkcją i dystrybucją własnych wydawnictw, a także dystrybucją na zasadzie wzajemności wykonawców innych wytwórni z całego świata.

– Jakiego rodzaju muzyka jest w katalogu firmy SPV?

– Przede wszystkim różnego rodzaju muzyka niekomercyjna. Mamy w katalogu „new beat", czyli elektroniczną muzykę rytmiczną z takimi wykonawcami jak: Front 242, A Split Second, Psyche, Cassandra Complex, Borghesia, Chris Cosey, Moev. Bardzo modnym i popularnym kierunkiem jest w tej chwili „rave" – tzw. styl Manchester. Kierunek ten nie jest jeszcze popularny w Polsce, ale myślę, że nieuchronnie inwazja tej muzyki dotrze i do naszego kraju. Czołowe grupy tego kierunku to m.in. The Charlatans, Darkside i Paris Angel. Dominującym rodzajem muzyki, od której firma SPV rozpoczynała swoją działalność, jest heavy metal. Na wszelkiego rodzaju listach przebojów heavy-metalowych zawsze znaczny procent stanowi muzyka wydawana przez SPV na zasadach dystrybucji czy licencji. Wiem, że takie grupy jak: Napalm, Sodom, Kreator, Pankard, Voi Vod, Celtic Frost, Helloween czy Morgoth mają również wielu zwolenników w Polsce. Rock symfoniczny reprezentowany jest m.in. przez bardzo reklamowaną obecnie grupę Legendary Pink Dots. Mamy również propozycje dla zwolenników takich gatunków muzycznych jak country, folk, hard core, punk. Nasz katalog zawiera około 2 tys. tytułów i nie sposób jest wszystko tutaj wymienić. Radzę potencjalnym klientom, żeby pytali o nasze płyty w sklepach muzycznych. Wszystkie nasze płyty będą oznakowane firmową nalepką SPV.

– W katalogu znajdują się też wykonawcy już uznani, np. Johnny Winter, Chicken Shack, Bauhaus, Nick Cave, Bad Brains czy Fields Of The Nephilim...

– Tak, mamy w katalogu trochę starego, dobrego bluesa. Oprócz tego jesteśmy dystrybutorem takich wytwórni jak: Beggars Banquet, Noise, Play It Again Sam, Antler Subway.

– Czy firma ma w swoich planach koncerty promocyjne w Polsce wykonawców związanych z SPV?

– Tak, chcemy tę działalność rozpocząć od trasy koncertowej grupy Psyche. Jest to duet

Fields Of The Nephilim

(wokalista i muzyk grający na instrumentach klawiszowych), w związku z czym koncerty mogą odbywać się nawet w małych salach klubowych. Będzie to pewnym sondażem popularności naszej muzyki, a jej powodzenie zachęci firmę do organizowania następnych tras koncertowych.

– Czy mógłbyś zaproponować nam wykonawców z katalogu SPV, którzy zasługują na szczególną uwagę?

– Na pewno warto posłuchać muzyki grupy Sigloxx znajdującej się na płycie „Under A Purple Sky". To posępny rock mający swój specyficzny klimat, przypominający muzykę legendarnego zespołu Joy Division. Inną wartą posłuchania jest grupa Shakti z wokalistką Jade 4U, kórej muzyka jest mieszaniną wielu gatunków. Jest tam trochę orientalnych, hipnotyzujących klimatów plus niewiele elektroniki i dyskotekowych rytmów. Całość jest niepowtarzalna, obok bardzo melodyjnych utworów są także piękne, instrumentalne nagrania. Polecam również debiutancką płytę grupy Rise And Fall Of The Decade, przypominającą wczesne krążki wytwórni 4AD, trochę w stylu Cocteau Twins, ale mniej abstrakcyjną i wydumaną. Należy tu zwrócić uwagę na znakomite rozwiązania melodyczne i bogatą aranżację utworów tej grupy.

– SPV to również dystrybutor muzycznych kaset video...

– Tak, jesteśmy największym w Europie dystrybutorem muzycznych kaset video. Nasz katalog zawiera ponad tysiąc tytułów od klasyki rockowej przez jazz, blues, muzykę poważną aż po wykonawców najbardziej awangardowych. Mamy nadzieję, że dzięki nam muzyczne kasety video będą bardziej dostępne. Z naszych sondaży wynika, że jest na nie duże zapotrzebowanie. Do tej pory na naszym rynku był mały wybór videokaset z dobrą muzyką.

– Czyli każdy znajdzie dla siebie coś interesującego. Możesz podać kilka tytułów?

– Bardzo proszę: Eric Clapton „Live 85", Neil Young „Live In Berlin", Wishbone Ash „Phoenix – Live", Dire Straits „Alchemy Live", Sisters Of Mercy „At Royal Albert Hall", Weather Report „Live In Tokio", Dizzy Gillespie „A Night In Havana", Luciano Pavarotti „Royal Gala Concert/Royal Albert Hall". Jak sam widzisz jest to bogata i różnorodna propozycja.

– Jakie są najbliższe plany firmy SPV związane z Polską?

– Chcemy zacząć od promocji naszych wydawnictw w prasie, radiu i telewizji. Muzyka przez nas propagowana, mimo że wartościowa, była znana niewielkiemu gronu polskich odbiorców. Będziemy się starali, żeby ceny naszych płyt i kaset były niewygórowane i przez to bardziej dostępne dla wszystkich zainteresowanych. W dalszych planach chcemy otworzyć następne po warszawskim oddziały firmy SPV w większych miastach w Polsce oraz wydawać i promować polskich wykonawców.

Rozmawiał:
Andrzej Woszczyk

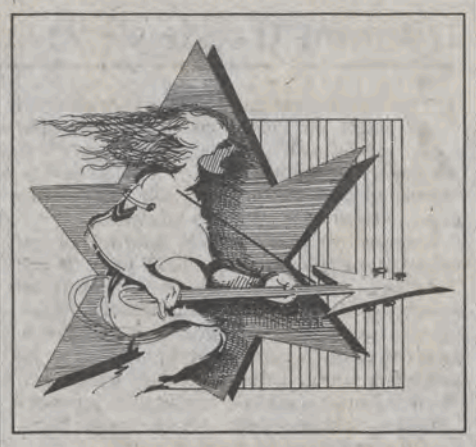

Muzyczny serwis

Z kraju:

● **Deep Purple** w Polsce!!! Ta legendarna grupa wystąpi 12 września w poznańskiej „Arenie", a nie jak wcześniej planowano 13 września na Stadionie Śląskim w Chorzowie. Grupa występuje obecnie w Ameryce Południowej, a koncert w Poznaniu będzie jej pierwszym podczas europejskiej trasy koncertowej. Bilety kosztują w przedsprzedaży 155 tys. zł, a w dniu koncertu będą po 185 tys.

● „Detox" to tytuł nowej, jeszcze nie wydanej płyty grupy **Dżem.** Będzie to już ósmy album w dorobku tej znanej, bluesowej grupy.

● Międzynarodowe Targi Muzyczne „Intermedia 91" odbędą się w dniach 18–22 września we Wrocławiu. Organizatorzy liczą na przyjazd ludzi show-businessu, muzyków, artystów, promotorów i producentów.

Ze świata:

● **Stevie Wonder, Diana Ross and The Supremes, The Temptations, The Three Degrees, Marvin Gaye** znaleźli się wśród wielu innych wykonawców, których nagrania znalazły się na płycie „The Motown Album". Album zawiera trzy dekady murzyńskiej muzyki nagrywanej dla wytwórni Tamla Motown.

● Ukazał się pierwszy singel **Prince'a** z utworami pochodzącymi z jego nowej płyty „Diamonds and Pearls". Na singlu znajdują się dwa utwory: „Gett Off" i „Horny Pony". Jedyny koncert, jaki miał dać Prince w Europie w tym roku – w Blenheim Palace w Oxfordshire 31 sierpnia – został odwołany. Jako przyczynę podano wysoki koszt wynajęcia sali.

●**Mike Scott** – lider grupy **The Waterboys** przeniósł się do Nowego Jorku i poszukuje tam nowych muzyków do swojego zespołu.

●**Fish (eks Marillion)** pracuje obecnie nad swoją drugą płytą solową. Krążek ma nosić tytuł „Internal Exile" i ukaże się pod koniec tego roku. Ostatnio Fish wystąpił jako aktor w kilku filmach telewizyjnych.

● Były lider grupy **Talking Heads – David Byrne** nagrał swoją drugą płytę solową „The Forest".

● Ukazała się nowa, dawno zapowiadana płyta **Diany Ross**. Ostatecznie nosi tytuł „The Force Behind The Power". Producentami są Stevie Wonder, James Carmichael i Peter Asher. Stevie Wonder skomponował na płytę utwór „Change Of Heart" (taki był pierwotny tytuł płyty).

● 30 września w Europie ukaże się nowa płyta **Joe Cockera** „Night Calls". Na europejskim kompakcie będą o dwa utwory więcej niż w wersji amerykańskiej. Producentami płyty są m.in. Danny Korthmar i Jeff Lynne.

● Na aukcji w nowojorskim domu aukcyjnym „Sotheby's" sprzedano za 60 tys. dolarów 12-cylindrowego jaguara należącego wcześniej do **Eltona Johna** oraz za 13 tys. dolarów... gorset **Madonny.**

A.W.

TOP 20 VIDEO

1.	(Everything I Do) I Do It For You	BRYAN ADAMS
2.	More Than Words	EXTREME
3.	Now That We've Found Love	HEAVY D & THE BOYZ
4.	You Could Be Mine	GUNS N'ROSES
5.	Love And Understanding	CHER
6.	Rush Rush	PAULA ABDUL
7.	Gypsy Woman	CRYSTAL WATERS
8.	Baila Me	GYPSY KINGS
9.	I Wanna Sex You Up	COLOR ME BADD
10.	The Motown Song	ROD STEWART
11.	Always There	INCOGNITO
12.	Senza Una Donna	PAUL YOUNG & ZUCCHERO
13.	Tago Mago	KAOMA
14.	Chorus	ERASURE
15.	The Beginning	SEAL
16.	Things That Make You Go Hmmm...	C & C MUSIC FACTORY
17.	Shiny Happy People	R.E.M.
18.	It Ain't Over Til It's Over	LENNY KRAVITZ
19.	Pandora's Box	OMD
20.	Baby Baby	AMY GRANT

wg MTV 31.08.1991

Nowości płytowe

ABC – Abracadabra
BAD ENGLISH – Backlash
BIG AUDIO DYNAMITE – The Globe
PHILLIP BOA AND THE VOODOOCLUB – Helios
COWBOY JUNKIES – Whites Off Earth Now!
DREAD ZEPPELIN – 5.000.000.
HELLOWEEN – The Best, The Rest, The Rare
HUE AND CRY – Stars Crash Down
KITARO – Live In America
LITTLE RIVER BAND – Worldwide Love
KENNY LOGGINS – Leap Of Faith
MANFRED MANN'S EARTH BAND – Twenty Years Of Manfred Mann's Earth Band 1971-1991
MARTIKA – Martika's Kitchen
CHRIS NORMAN – Interchange
OZZY OSBOURNE – Say Hello To Heaven
TEDDY PENDERGRASS – Truly Blessed
DIANA ROSS – The Force Behind The Power
BARBRA STREISAND – Prince Of Tides
CHRIS THOMPSON – Beat Of Love
WOMACK AND WOMACK – Family Spirit

Uwaga: konkurs!

Moja największa miłość

W tym roku, w lipcu minęło dwadzieścia lat od chwili, gdy najpierw przed miłą urzędniczką, a potem przed księdzem powiedzieliśmy sobie: „tak". Pamiętam ten dzień. Oboje mieliśmy straszną tremę. Ania drżała jak przysłowiowy liść, a ja, wtedy w urzędzie wstydziłem się ująć jej dłoń, bo moja była cała mokra. Serce podchodziło mi do gardła, które ściskał najlepszy, jedwabny krawat mojego ojca, zawiązany mi przez mamę, bo „staruszek" nie mógł tego uczynić ze wzruszenia. Wszak żenił jedynaka! Jedynak miał 23 lata, ukończone chlubnie, choć bez większych pasji studia, które nie dawały tzw. większych widoków na przyszłość i nieopisaną radość w tym oszalałym sercu: obok mnie była Ania.

Poznałem ją w szkole średniej, chodziliśmy do tej samej klasy, ale nigdy nie „chodziliśmy" ze sobą. W klasie było kilka bardzo efektownych dziewczyn, a Anka była taka zwyczajna... Nasze drogi się rozeszły i żadnego z tych szkolnych kolegów, z którymi utrzymywałem kontakt nigdy o nią nie zapytałem. Nie przychodziło mi to do głowy. Spotkałem ją po trzech latach, zupełnie zwyczajnie, w „Centralu". *„Ależ ty wyładniałaś!"* zawołałem, bo rzeczywiście stała przede mną śliczna dziewczyna. Zarumieniła się i... nie przyjęła mojego zaproszenia na kawę. Zdążyłem się tylko dowiedzieć, że skończyła pomaturalne studium i pracuje, że jest zadowolona z życia *„bo, wiesz, ja się ze wszystkiego cieszę, z tego, że cię widzę – też"*. Wymieniliśmy telefony. *„Zdzwonimy się"*.

Zatelefonowałem tego samego dnia, a na drugi, znad porcji lodów uśmiechnęła się do mnie tak, że poczułem, iż TĄ JEDYNĄ, TĄ NA CAŁE ŻYCIE może być tylko ona. Nie było mowy o imponowaniu jej czymkolwiek. Oporną na wszystkie „sprawdzone" chwyty, po spacerze, kawie lub kinie musiałem na 21. odprowadzić do domu. Dopiero po kilku miesiącach pozwoliła się pocałować, a współżycia przed ślubem nie uprawialiśmy w ogóle. Nie do wiary? A jednak to prawda! Nigdy nie myślałem o Niej jako o swojej „dziewczynie", a Ania zawsze przedstawiała mnie słowami „mój narzeczony". Nasze narzeczeństwo trwało dwa lata. Jej rodzice przyjęli mnie jak syna, a moi kochają ją jak upragnioną córkę.

Jesteśmy szczęśliwym, kochającym się małżeństwem. Anna jest wspaniałą żoną, cudowną kochanką i nadzwyczajną, czułą matką naszych dwojga dzieci, które noszą nasze imiona. Andrzej ma osiemnaście lat, a „mała" Ania dwanaście. Nie uniknęliśmy kłopotów. Nie ominęły nas problemy finansowe. „Mała" Ania długo i ciężko chorowała. Trzy lata temu zmarł mój teść, od roku zaś nie wstaje z łóżka moja matka. Wielkie smutki, ale i równie wielkie radości przeżywamy razem. Jestem bardzo szczęśliwy. Kocham ją bardzo i pragnę wciąż tak samo silnie. Kocham nasze dzieci, ale miłość do Anny jest najsilniejsza. Ania spytała mnie kiedyś czy kocham ją tak jak mamusię. Odpowiadając twierdząco, skłamałem. Nikogo na świecie, nawet własnych dzieci, nie kocham bardziej niż swojej żony. Ona jest największą i jedyną miłością mojego życia.

Andrzej Zalewski
Łódź

Hej Kociaki!

Witamy Was jak zwykle bardzo ciepło i serdecznie, choć na dworze już coraz chłodniej. Witamy zarówno wrogów jak i przyjaciół talentu Jacka Wójcickiego. W dniach 22–28 sierpnia odbył się V BAJM Piknik, zorganizowany przez Centralny Fan-Club zespołu BAJM „Biała Armia". Zaprosili nas nad jezioro Zgłębocze koło Lublina, gdzie spędzaliśmy bardzo miłe chwile i BAJMowaliśmy się z fanami BAJMu. Hasłem zarówno naszym, jak i przyjaciół z Lublina jest przecież „muzyka łączy a nie dzieli".

W poprzednim artykule pisaliśmy Wam, że Jacek Wójcicki spędza wczasy na Pojezierzu Kaszubskim i że być może kilku ludzi z Fan-Clubu odwiedzi tam artystę. Informujemy Was, że czworo ludzi było na pięknym pojezierzu i widziało się z artystą. Jacek powiadomił nas, że w tych dniach nagrywa film dla dzieci pt. „JiM", będzie tam odgrywał rolę mleczarza, a poza tym będzie koncertował w rejonach gór. Prywatnie u artysty wiedzie się nie najlepiej, lecz sprawy zawodowe pochłaniają go w

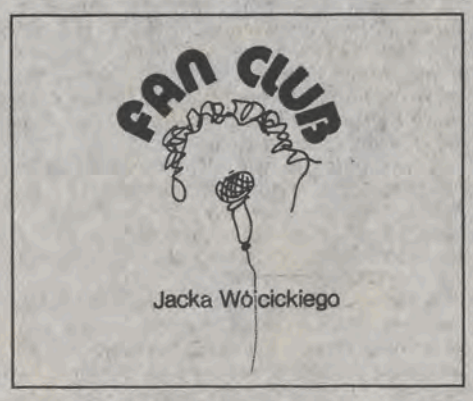

tak dużej dozie, że w ogóle nie ma czasu na „siebie". Z artystą poszliśmy do kawiarni i tam wznieśliśmy toast za to szczęśliwe spotkanie. Niestety nastał dzień wyjazdu i trzeba było się pożegnać, ale umówiliśmy się na następne spotkanie w Krakowie.

I tak minęły nam tegoroczne wakacje. Przyjechaliśmy do Łodzi, do obowiązków. Zrobiliśmy spotkanie członków F-C, które odbyło się w klubie „Anna" i miało swoją pierwszą oficjalną nazwę. Spotkania takie będą odbywać się co miesiąc i będziemy informować na nich o najnowszych planach i poczynaniach Jacka Wójcickiego. Poza tym posiadamy wreszcie swoje koszulki z wizerunkiem Jacka. Następnym naszym osiągnięciem jest niedawno wydana gazetka fan-clubowa „Apokalipsa". Tę pozycję gorąco Wam polecamy, ponieważ znajdziecie w niej wiele interesujących informacji i zdjęć artysty. Jeśli chodzi o nasze najbliższe plany, to trwają rozmowy z red. J. Kijo na temat audycji na antenie łódzkiego radia. Ostatnio ponieśliśmy porażkę – nagraliśmy audycję dla „M.M. Rytm", która niestety nie została odtworzona na antenie. Za ten incydent dziękujemy tylko i wyłącznie pani D. Lubeckiej – jej niesłowność dotknęła nas bardzo mocno.

Dzisiaj to tyle, żegnamy Was do następnego spotkania. Jeszcze tylko pozdrowienia, które przywieźliśmy dla Was z wakacji od mistrza Jacka Wójcickiego. Do zobaczenia! Hej!

Jacek Krysiak

Łódzki Centralny Fan-Club Jacka Wójcickiego „Corrida" 93-038 Łódz, ul. Sanocka 27/13

Cd. ze str. 1

W chwili rozpoczęcia festiwalu, doszło do przykrej kradzieży. Poszkodowaną znowu była... **Lora Szafran** (okradziona w lipcu na wyborach „Miss Polski" w Sopocie). Tym razem piosenkarce skradziono dwuczęściową czarną garsonkę, w której miała wystąpić jako laureatka Grand Prix „Sopotu'90" oraz skórzaną kurtkę. Straty wyniosły 9,5 miliona złotych. Przyczyną było otwarte okno w garderobie. Trochę to dziwne, bo Opery Leśnej strzegły kordony prywatnych agentów „Securitate" i służby porządkowej organizatorów. Lora Szafran z trudnością wyśpiewała „Trust me at once", ubrana była fatalnie (zastępczo), a po występie pół nocy przepłakała.

w tym samym czasie, stróż ładu i porządku (były komendant sopockiej policji) przekazał w ręce policjantów członka zespołu polskiego **„Golden Life"**, który będąc po kilku piwach cisnął popielniczką w jednego z organizatorów, bo nie chciano wpuścić za kulisy jego żony, aby go ucharakteryzowała. Za karę odwieziono muzyka do Izby Wytrzeźwień.

I. Fasolka po bretońsku...

Tegoroczny The 28th International Music Festival „Sopot'91" otworzyła konferencja prasowa z udziałem organizatorów, sponsorów, twórców i wykonawców. Rzecznik prasowy festiwalu od początku wydawał mi się zbyt nijaki jak na imprezę tego formatu, tłumacz zbyt nerwowy, prezydent festiwalu zbyt pewny siebie, a producent **Jerzy Gruza** znów miał reżyserować estradowo poszczególne koncerty. Tylko **Gavin Taylor**, światowej sławy realizator telewizyjny robił wrażenie prawdziwego Europejczyka.

Wszędzie wszystkich osaczała reklama „Uniwersalu", od której to firmy każdy otrzymał prezent. Na konferencji któryś z dziennikarzy zapytał, czy dla „Uniwersalu" sponsorowanie sopockiego festiwalu stanowi kosztowne hobby, akcję filantropijną czy może jednak biznes? W odpowiedzi usłyszeliśmy, że „Sopot'91" to przedsięwzięcie gospodarcze, na które pracowano latami. Właściwie przejęto niczyj festiwal piosenki, do tej pory nikt nie myślał o jego stronie handlowej, o zyskach dla miasta. Okazało się też, że „UP International Ltd" to ogromne przedsiębiorstwo handlowe z obrotem miesięcznym w wysokości 1 miliona dolarów. Na bazie festiwalu firma pozwoli sobie na różne inwestycje dotyczące polskiego show businessu.

Nad formułą „Sopotu'91" pracowano już od grudnia ub. roku, w Londynie angażowano gwiazdy, w Sopocie – wykonawców konkursowych i krajowych. Ponieważ Polska wciąż nie jest członkiem żadnej z dwóch międzynarodowych konwencji chroniących prawa wykonawców, producentów, organizacji radiowych i telewizyjnych, przed produkcją nielicencjonowanych kopii nagrań, promowanych produkcją IFPI (Międzynarodową Organizację Przemysłu Fonograficznego) – nie będzie mogła wejść ze swoimi produktami na rynek światowy.

Z tej samej przyczyny, oglądamy w Polsce tak niewiele największych gwiazd światowej piosenki, a jeżeli już – to w schyłkowym okresie ich kariery (**Shirley Bassey, Charles Aznavour, Joan Baez, Jose Feliciano, Petula Clark, Demis Roussos, Bonnie Tyler, Caterina Valente** czy **Johny Cash**), a ponieważ piractwo fonograficzne osiągnęło w Polsce monstrualne rozmiary, nie byłoby w Sopocie żadnych gwiazd, gdyby nie obecność i światowa renoma Gavina Taylora, który był swoistą rękojmią dla tych kilku znanych nazwisk, nie wspominając o retransmisjach telewizyjnych na cztery kontynenty do kilkunastu krajów świata.

Kiedyś Festiwal w Sopocie realizowało ok. 150 osób, w ub. roku 100, w tym roku tylko 45! Niewątpliwą atrakcją tego spotkania był widok szarej, pękatej koperty, która skrywała 45 tysięcy dolarów, przeznaczonej dla laureatów konkursu Grand Prix. Do walki o zielone banknoty odliczyło się 25 wykonawców, spośród których jury musiało wybrać 10-12 uczestników drugiego etapu. Nie dojechał radziecki duet **„Łaskawyj Maj"** (z wiadomych przyczyn), a z gwiazd – nieznany w Polsce zespół **„James"**.

Siedzę przy stoliku z reprezentantem St. Zjednoczonych **Randy Koppą** (z wykształcenia filozofem, na co dzień właścicielem gabinetu odnowy biologicznej), jemy szarlotkę z bitą śmietaną. *„Jaki będzie ten festiwal dla młodego Amerykanina, który po raz pierwszy uczestniczył w tak dużej imprezie piosenkarskiej?"* – pytam. Randy albo jest stremowany, albo z natury nieśmiały, chyba niewiele rozumie o czym się mówi, mimo wyjaśnień tłumacza. Przy sąsiednim stoliku ekipa turecka: duet **Hulya i Ozan** (ona z Istambułu, studentka konserwatorium muzycznego, on z Ankary – studiował turystykę w średniej szkole, gra na gitarze elektrycznej i jest menagerem tureckiej grupy rozrywkowej), towarzyszy im kilkuosobowa grupa z Turcji, zaprzyjaźniona z prezydentem festiwalu, stąd tak mocny akcent turecki w Sopocie, bo przyjechał jeszcze gwiazdor **Neco** z partnerką.

Walka o zielone

Karnawał Nicejski w Sopocie
Foto: Robert Kopciński

Tuż obok stoi **Uffe Person** ze Szwecji, z którym zaprzyjaźnię sią dzięki **Jerzemu Grunwaldowi,** pierwszemu znajomemu jakiego spotykam po przyjeździe do Sopotu, a który jest menagerem sympatycznego, wciąż uśmiechniętego 27-letniego Szweda z głosem porówywalnym do **Tomy Jonesa** i **Michaela Boltona.** W 1988 roku Uffe reprezentował swój kraj w Konkursie Piosenki „Eurowizji". Czy w Sopocie otrzyma nagrodę dosyć istotną dla rozwoju jego dalszej kariery w ojczystym kraju? Grunwald szepce mi do ucha: *„Jeżeli Uffe dostanie nagrodę, ja również wystąpię na sopockiej estradzie. Czy pamięta pan piosenkę „Gwiazdka z nieba"? Zaśpiewam ją po wręczeniu nagrody dla Uffe, to będzie niespodzianka".*

– Ale nie ma pan odpowiedniego stroju?

– Mam. Wszystko jest uzgodnione z prezydentem.

Bliższe poznanie z gwiazdami „Sopotu'91" nastąpiło w trakcie koktajlu zorganizowanego w sali restauracyjnej hotelu „Marina". Muzycy z zespołu **„Marillion"** bratali się z Polakami przy pomocy szampana. Muzyk **„Deacon Blue"** dzielnie odpierał ataki dziewcząt. Konferansjer **Paul King** jeszcze nie doleciał. Za to na sali pokazały się jego partnerki: jak zwykle pełna ogromnej kultury i taktu, przepięknie opalona **Alicja Resich-Modlińska** i jak zwykle śliczna **Grażyna Torbicka** w super mini. **Tomasz Raczek** przytył i ma pierwsze siwe włosy. W niczym nie przypomina już cudownego chłopca polskiej TV, bardziej zachodniego biznesmena ze srebrną teczką „ambasadorką".

Krajowe sławy rozpoznawały ludzi i terem, zagraniczni goście, przy pomocy tłumaczy, kontynuowali proces aklimatyzacji. Nie było tylko długowłosych Norwegów z **„Dream Police"**, którzy zamówili obfite obiady do pokoju. Przedstawicielka Finlandii wraz z menadżerką dopytywała się o miejsca, w których można kupić kryształy. Inni przygotowywali się do zwiedzania Trójmiasta. Wszyscy jedli z apetytem kanapki, owoce południowe. Zamiast łososia i kawioru podano fasolkę po bretońsku.

II. Zdumione gwiazdy

Na widowni Opery Leśnej podczas pierwszego i następnych koncertów, było trochę wolnych miejsc (bilety skalkulowano na 95 tysięcy złotych, na koncert galowy kosztowały 150 tysięcy złotych). W tym roku piękne, zadrzewione tło sceny zamknięte zostało w potężną ramę czarnej rampy. To leśne okno przysłaniały częściowo piramidki białych i czarnych schodków. Kanciastej geometrii sceny dodawały uroku tylko światła i lasery (efekty były jak na nasze warunki – doskonałe).

Być może Czytelnicy zastanawiają się – dlaczego pierwszą część koncertu wypełnili wyłącznie polscy wykonawcy firmowani przez jedną tylko firmę „ZIC-ZAC" z Warszawy? Otóż organizatorzy festiwalu złożyli propozycje udziału różnym firmom. Zgłosiła się firma promocyjna „ZIC-ZAC Music Company" z Warszawy i przedstawiła najmocniejszą ofertę programową ze **Stanisławem Sojką, Kayah, Nazarem, „De Mono", „Formacją Nieżywych Schabuff", Kazikiem** i **„Golden Life"**

Mnie najbardziej podobała się demoniczna **Kayah,** która zelektryzowała tłumy swoją srebrną super mini sukienką, nota bene ważącą 4 kilogramy i szytą przez samą piosenkarkę 4 noce. Kayah zrobiła ogromne postępy jako wokalistka i ma wszelkie szanse, aby zostać uznaną gwiazdą nie tylko polskiej estrady rockowej.

Nikt z fanów grupy **„OMD"** czyli **„Orchestral Manoeuvres In The Dark"** (jednej z największych gwiazd lat osiemdziesiątych) tak licznie zgromadzonych w Operze Leśnej nie wiedział, że występ zespołu stanął pod znakiem zapytania. Muzycy zespołu zauważyli w Sopocie swoją kasetę w wydaniu pirackim, co w Wielkiej Brytanii jest karalne (nawet karą więzienia i milionowymi odszkodowaniami!).

W Polsce działa ok. 500 pirackich wytwórni fonograficznych, ok. 30 producentów posiada duże przedsiębiorstwa produkujące masowe ilości kaset. Na ten temat odbyła się w sopockim Urzędzie Miejskim konferencja „FIDOF". Jednak apele wygłaszane na takich i podobnych spotkaniach nie na wiele się zdadzą, dopóki w Polsce nie będą obowiązywać przepisy zgodne ze światowymi normami. Głównym piratem jest sam ZAiKS, który firmuje swoim szyldem pirackie kasety i pobiera pewien procent.

Póki co, można kupować kasety naszych ulubieńców za 12-15 tysięcy złotych, a nie za 40 czy 70 tysięcy. Wśród nich już są nagrania gwiazd „Sopotu'91". Zdumione gwiazdy nie dowierzały, dopóki same nie zobaczyły pewnie dlatego, że po raz pierwszy były w tym dziwnym kraju – Polsce.

Bohdan Gadomski

Druga część relacji zza kulis „Sopotu'91" za tydzień.

Sopocki bilans

Grand Prix i I nagrodę w wysokości 25 tys. dolarów na XXVIII Międzynarodowym Festiwalu Muzyki Sopot'91 zdobyła łotewska grupa **„New Moon"**, wyróżniona dodatkowo nagrodą jury komplementarnego (sponsorzy) i nagrodą dziennikarzy. Laureatem II nagrody (15 tys. dolarów) została grupa **„Dream Police"** z Norwegii, a III miejsce (5 tys. dolarów) zajęła włoska piosenkarka reprezentująca Austrię – **Etta Scollo.**

Poziom wykonawców biorących udział w konkursie był dosyć wysoki i wyrównany, na pewno dużo lepszy niż rok temu. Dlatego też do drugiego etapu nie przeszła planowana dziesiątka, lecz dwunastka, ponieważ po podliczeniu punktów okazało się, że wykonawcy na miejscach od 10 do 12 mają taką samą liczbę punktów. Międzynarodowe jury pod przewodnictwem **Tomasza Raczka,** przyznając Grand Prix Łotyszom z „New Moon", było chyba bardziej pod wrażeniem wypadków, które miały miejsce w tym czasie w Związku Radzieckim niż poziomu artystycznego tej grupy. Moim zdaniem było kilku lepszych wykonawców zasługujących na to wyróżnienie – Etta Scollo, „Dream Police" czy polska grupa „DDD".

Dobrze wypadli na festiwalu nasi reprezentanci – najlepsza była grupa **„DDD" (Dużo Dziwnych Dźwięków)** z Katowic, mająca w swym składzie muzyków znanych ze współpracy z grupą **„Krzak"** i **Ireneuszem Dudkiem.** Niewątpliwym atutem tej grupy jest wokalista – **Roman „Pazur" Wojciechowski,** który świetnie czuje się w utworach bluesowych. **Nazar,** który otrzymał nagrodę jury komplementarnego (British Airways), to dopiero materiał na dobrego wokalistę, natomiast grupa Marka Sośnickiego – **„Tamerlane"** zrobiła w ostatnim okresie duży postęp. Teraz powinna skoncentrować się na poszukiwaniu własnego stylu, a nie naśladować zachodnich wykonawców.

Gwiazdy, które w tym roku zjechały licznie do Sopotu, miały wspólny mianownik – śpiewały z playbacku. Najlepiej wypadli **Alison Moyet** (szkoda, że tylko dwa utwory – „Wishing You Were Here" i „Only You" – zaśpiewała „na żywo", **„Marillion", „Deacon Blue", „Roachford"** oraz... włoski piosenkarz **Pupo,** który wszystkie swoje piosenki wykonał „na żywo" i od początku swojego występu nawiązał dobry kontakt z publicznością. Występ w roli gwiazd takich wykonawców jak: **„Technotronic"** (monotonna łupanina **Danni Minogue,** kiczowaty duet z Turcji – **Leman Sam And Neco, „All Quiet"** czy włoska grupa **„Novocento"** (dyskotekowe wersje znanych przebojów) to raczej nieporozumienie.

Nowa ekipa realizatorów zastosowała dość ciekawą formułę festiwalu – gwiazdy występowały codziennie w krótkich, nie nużących minirecitalach. Interesująco wypadł też pomysł prezentacji wykonawców biorących udział w konkursie o Grand Prix Sopot'91. Tegoroczny festiwal był imprezą na pewno bardziej udaną niż edycja ubiegłoroczna. Wszystkie koncerty zrealizowano sprawnie, szkoda tylko, że bardziej z myślą o telewidzach, kosztem wrażeń ludzi zgromadzonych w Operze Leśnej.

Andrzej Woszczyk

Nowości książkowe

Wyjątkowo bogata i różnorodna jest oferta Wydawnictwa Łódzkiego na wrzesień. Osiem tytułów i osiem bestsellerów!

Jackie Collins, Szanse

Trzymająca w napięciu opowieść o mafii, Harlemie, sutenerach i prostytutkach oraz o deprawującym niewinną dziewczynę świecie wielkiego biznesu.

John L. Cock, Maria czyli kwadratura seksu

Ich trzech – byłych mężów Marii, ona jedna – piękna trzydziestoletnia Hiszpanka. W luksusowej posiadłości nadmorskiej próbują odnowić swe uczucia, uczestniczyć w dramacie namiętności i zazdrości.

Dušan Savković, Goryl

Sensacyjna historia zabójstw dokonywanych na „gorylach" słynnego aktora francuskiego Alaina Delona.

J.M. Roberts, Ilustrowana historia świata, tom III

Ostatni tom bestsellerowej syntezy dziejów świata. Obejmuje lata 1800-1990.

Ian Graham, Robin Kerrod, Jak to jeździ?

Wymarzony prezent dla synów... i ojców. Barwne fotografie i rysunki, opatrzone zwięzłym komentarzem wyjaśniają zasady budowy i funkcjonowania różnych pojazdów spalinowych – samochodów wyścigowych, motocykli, ciężarówek i czołgów.

Świat pod mikroskopem (praca zbiorowa)

Fascynująca podróż w głąb atomów, komórek, roślin, owadów, ludzkiego ciała. Ponad dwieście barwnych fotografii wywołujących zdumienie i podziw.

Od Staffa do Wojaczka

Dwutomowa (ponad 1700 stron) antologia XX-wiecznej poezji polskiej. Dzieło niezbędne w każdym kulturalnym domu.

Ernest Renan, Żywot Jezusa

Pierwsze powojenne wydanie książki, która 100 lat temu bulwersowała swą oryginalną chrystologią, a dziś jest frapującym świadectwem intelektualnych i religijnych niepokojów przeżywanych przez XIX-wieczną Europę.

Sprostowanie

Przepraszamy za błąd, jaki wkradł się w zeszłym tygodniu do wywiadu pt. „Nie ma recepty na dobry dowcip". Nazwa kabaretu powinna brzmieć oczywiście OT.TO, a nie OT.OT.

Ulubieniec muz

Czytać lubiłam chyba od zawsze. Jako nastolatka przeczytałam niemal całą klasykę i chyba ją na swój sposób zrozumiałam. No, ale podówczas telewizja dopiero raczkowała, a o migających obrazkach pod tytułem video nikomu chyba w Polsce jeszcze się nie śniło. Pamiętam jednocześnie, że gdy się zakochałam w niesłychanie pryszczatym (to był jedyny jego wyróżnik) młodzieńcu, spory księgozbiór, jaki miałam do dyspozycji przestał mi wystarczać i za pieniądze wyżebrane od babci (ach, te niemądre babcie) pomaszerowałam do antykwariatu, po to, iżby sprawić sobie stosowną do mojego stanu ducha książkę. Mimo że, jak napisałam wyżej, z klasyką byłam za pan brat, przy zakupie zaintrygował mnie nie autor (jakiś Rosjanin), ale tytuł dzieła brzmiący „Jej pierwsza miłość". Zakup okazał się nader nietrafny. Dzieło traktowało bowiem o jakiejś dzielnej podfruwajce budującej (wraz z kolektywem naturalnie) most, który to most okazał się właśnie jej pierwszą miłością.

Mijający czas nie nauczył mnie rozumu. Jestem jedną z ofiar dzisiejszych nuworyszowskich wydawnictw, które nabijają mnie w butelkę, kusząc nader intrygującymi tytułami utworów czy też wpadającymi w oko „ślicznymi" – sądzę, iż widząc je artyści malarze zgrzytają zębami niekoniecznie z zazdrości – okładkami. Do porażek przyznaje się jednak człowiek – próżny przecież zawsze – z pewnymi oporami.

Moi kochani, w dzisiejszych fatalnych dla literatury czasach udało mi się przeczytać tomik wierszy **Adama Szypera „Z poddasza snów".** Ja wiem, że nie lubicie utworów poetyckich, boicie się utworów poetyckich, śmiertelnie nudzą was utwory poetyckie itd. I muszę wyraźnie powiedzieć, że owa niechęć do – nie dzieli nas a łączy. Nie znoszę bowiem tego wszystkiego, co udaje poezję, a nią nie jest, boję się jak ognia owych frazesów, które mają mnie przytłoczyć swoją mądrością, a są tylko płytkie i miałkie. Lubię natomiast poezję, tę prawdziwą: starą, nową i najnowszą, bo ona nie tylko uczy, jak żyć, ale wielokrotnie pozwala przeżyć przypisane nam przez fatum nieszczęścia.

Po lekturze wierszy Adama Szypera jestem przekonana, że mamy do czynienia z poetą – ulubieńcem muz. Szyper ma ciekawy życiorys. Urodził się w 1939 r. w Łodzi, przeżył łódzkie getto i obozy koncentracyjne. W 1957 r. wyemigrował z Polski. Mieszka w USA. Wydawał tomiki wierszy w Izraelu i w Ameryce. „Z poddasza snów" jest jego pierwszą książką wydaną w Polsce. Ostatnimi czasy zresztą właśnie z Polską jest Szyper silnie związany. Dość powiedzieć, iż mieszka na przemian to w USA, to w Łodzi.

Obywatel świata, człowiek, który różni się od nas – szaraczków tym, że zwiedził te części naszego globu, o których możemy sobie tylko pomarzyć, pisze nam nie o swoich satysfakcjach, zachwyceniach, zwycięstwach, ale o bardzo ludzkim zmaganiu się z czasem, z samotnością, z bezradnością, z lękiem przed ostatecznym. Jeśli chodzi o formę, Szyper nie eksperymentuje, nie udziwnia, nie prowokuje. Wydaje mi się, iż jeśli ma się do powiedzenia o świecie tyle, co on – wszelkie nowinkarskie poszukiwania są zbędne. Ale oddajmy głos poecie:

Często obiecujemy naszym dzieciom
że nigdy nie umrzemy
Będziemy wchłaniać dużo witamin
czytać co trzeba robić co trzeba
i spalać dużo kalorii
Poczekamy aż jakiś noblista
świat wyleczy ze wszystkich chorób
i od jutra codziennie
będziemy szczęśliwie rozciągać
pięć metalowych sprężyn

Wiem: nie mamy pieniędzy. Wiem: nie mamy czasu. Wiem: mamy sto tysięcy spraw na głowie, a każda pilniejsza od innej. Póki jednak coś tam jeszcze wypycha nam kieszenie – kupmy książkę Szypera, bo pomoże na lęki i smutki.

Dorota Chróścielewska

Adam Szyper „Z poddasza snów", Wydawnictwo Łódzkie 1991 r.

Dawna Łódź

Wieś Łagiewniki leżała niegdyś w województwie łęczyckim, w archidiecezji gnieźnieńskiej, w powiecie brzezińskim, w dekanacie i parafii zgierskiej, na szlaku pielgrzymek podążających z Pomorza do Częstochowy. Dziś jest to północna część Łodzi, między ul. Łagiewnicką a torem kolejowym.

Zamieszkiwali wieś zrazu rzemieślnicy, wyrabiający łagwie – naczynia podróżne do napojów, zaś kolejni dziedzice wioski czerpali niemałą intratę z dziesięciu zarybionych stawów. Przed trzystu laty Łagiewniki należały do rodu Bełdowskich z Bełdowa herbu Jastrzębiec, zaś pan Jerzy Bełdowski, podsędek łęczycki, oprócz 12 wsi posiadał jeszcze pięć dorodnych cór na wydaniu. Jednej z nich Zuzannie, idącej za Samuela z Żelaznej Żeleskiego, zapisał w posagu wsie: Łagiewniki, Modrzew i Skotniki (niektórzy powiadają, że nie Modrzew lecz Moskule). Młodzi zamieszkali w łagiewnickim dworze i tu im jakowyś importun, czyśćcowy potępieniec, łomotaniem po izbach zakłócał małżeńskie karesy. Pan Samuel wprawdzie strachliwy nie był, tylko tak jakoś nieporęcznie w sąsiedztwie mieć siłę nieczystą.

Kiedy Łagiewniki były wsią

Najlepsi w okolicy egzorcyści, ojcowie reformaci z Lutomierska i Brzezin, spowodowali, że duch przemówił, wyznając swą winę: Za życia był panem tej wsi, słynącym z okrucieństwa. Pewnego razu dojrzawszy wieśniaka, kradnącego tłuste karpie z pańskiego stawu, w rankor wpadł srogi i kazał hajdukom sprać chłopa do nieprzytomności. Skatowany złodziej wyzionął wkrótce ducha, zaś okrutny dziedzic z wyroku niebios tłukł się po łagiewnickim dworze, czekając wybawienia. Wyznał, że żywot wieczny przywrócić mu może fundacja klasztoru pod wezwaniem św. Antoniego.

Pan Samuel Żeleski, na dorobku będąc, nie kwapił się do wypełniania życzeń ducha, który mu ze swej strony przez lat kilka zakłócał spokój domowy. Dał mu się tak we znaki, że młody dziedzic odbijał swą żałość na okolicznych białogłowach, pławiąc je w stawach za rzucanie uroku na trzodę, która padała masowo. Jeśli tylko rzekoma czarownica wypływała na powierzchnię, wsadzano ją do kłody. Jejmość odradzała małżonkowi skazywanie wieśniaczek na śmierć a i kuzyn z sąsiedztwa pan Kasper z Romiszewicz Stokowski dawał jako remedium nowennę w intencji św. Antoniego.

Widomy ten znak, a także cudowne pojawienie się tegoż świętego w habicie franciszkańskim, przesądziło o podjęciu budowy kaplicy i klasztoru. Dziedzic zaprosił do Łagiewnik o. Konstantego Plichtę z klasztoru franciszkanów w Piotrkowie. Ojciec Konstatny przywiózł obraz patrona i rozpoczął budowę. Dekretem Kongregacji z 22 lipca 1680 r. Łagiewniki zostały ogłoszone jako miejsce cudowne, a franciszkanom powierzono opiekę nad miejscem kultu. Do Łagiewnik zaczęły przybywać tłumy wiernych w oczekiwaniu cudu.

Przewielebny o. Marcin Kałowski, św. Teologii doktor, wydał w 1722 r. szczegółową *„Informację o początkach i dalszym progresie Cudownego Miejsca Łagiewnickiego, przez Antoniego Padewskiego z Nieba sobie obranego i naznaczonego; na pociechę ludzi rozlicznymi niemocami strapionych, którzy tu pomocy doznają, wiernie zebraną"*. Z tej to książeczki wydobywam kilka przykładów cudownej mocy świętego miejsca:

– Roku Pańskiego 1695 mieszczce jednej z miasteczka Zegrza (Zgierza – AK) utonęła córka w rzece, której gdy umarłej dostano, tu ją ofiarowała i zdrową oglądała.

– Jegomości panu Tarnowskiemu z Bałut utonęła córka, jejmość panna Agnieszka, której gdy dostano i umarła w oczach rodzica położono, z wielką wiarą i nadzieją zawołał: Antoni święty, uprosiłeś był tej córce mojej przedtem zdrowie, uproś jej teraz życie. Na te słowa córeczka ożyła, którą tu reprezentował i cud poprzysiągł.

– Roku Pańskiego 1715 jejmość panna Joanna Mokronowska, chorążanka płocka, przez czary mamki swojej od pięciu tysięcy czartów opętana i okrutnie dręczona, za egzorcyzmami i suplikacjami przed obrazem Antoniego świętego wolna została.

Barwne opisy widomych łask św. Antoniego zawierają wiele miejsca w tej książeczce. Czytywał ją zapewne Sługa Boży o. Rafał Chyliński, beatyfikowany 9 czerwca 1991 r. przez Ojca Świętego Jana Pawła II. Ojciec Rafał przebywał w łagiewnickim klasztorze od 1728 roku i tu zmarł 2 grudnia 1741 r., a więc przed 250 laty. Nie dożył chwili całkowitego zakończenia budowy klasztoru, oddanego do użytku 26 listopada 1748 r.

Andrzej Kempa

Załoga majora Jana Białego pierwsza podczas drugiej wojny światowej zbombardowała Trzecią Rzeszę

1 września 1939 roku, w pierwszych wiadomościach radio podało: *„a jednak wojna"*. Wojska niemieckie, bez formalnego wypowiedzenia wojny, przekroczyły granice Polski.

Generał Stefan Dąb-Biernacki, dowódca armii „Prusy", otrzymał zadanie operacyjne – *„północne zgrupowanie ześrodkować w rejonie Piotrkowa, Tomaszowa Mazowieckiego, Sulejowa z zadaniem przeciwuderzenia w luce częstochowskiej na wojska niemieckie i rozwijać natarcie na kierunkach Radomsko – Przedbórz"*.

Armia „Prusy" była jeszcze w stanie organizacyjnym.

Następne polecenie jakie otrzymał gen. Stefan Dąb-Biernacki to grupowanie się w rejonie Kamienna – Radom.

Przystąpiono do przegrupowania armii „Prusy" do nakazanego rejonu w godzinach popołudniowych, w niepełnym składzie, gdyż brakowało jeszcze 3 batalionu 85 pułku piechoty i Wileńskiej Brygady Kawalerii, która miała duże trudności z domarszem, gdyż jej pododdziały bojowe wyładowywały się ze spóźnionych transportów.

Na domiar złego zabrano armii „Prusy" jeden batalion czołgów lekkich, co poważnie osłabiło siłę uderzeniową i ogniową jej północnego zgrupowania w luce częstochowskiej. Nieprzyjaciel rozpoczął działania wojenne właśnie w tej luce.

Dowódcy związków taktycznych północnego zgrupowania, zgodnie z rozkazem dowódcy armii, przegrupowali nocą z 1 na 2 września swoje oddziały. O świcie osiągnęli nakazane rejony. Nie dołączyła natomiast 29 bateria przeciwlotnicza.

II.

Na obszarze ziemi radomskiej znajdowało się kilka lotnisk, pól wzlotów i lądowań. Do najlepiej wyposażonych należało lotnisko w Sadkowie, położone we wschodniej części Radomia, które w latach 1934 – 39 zostało zmodernizowane i unowocześnione, gdzie funkcjonowała Szkoła Podchorążych Rezerwy Lotnictwa, a dowodził nią były oficer austriacki Alojzy Beseljak, z pochodzenia Czech. Szkoła korzystała także z lotnisk polowych w podradomskiej Wsoli, Orońsku i Kamieniu koło Białobrzegów. Lotniska polowe znajdowały się również w Bąkowcu, Górze Puławskiej oraz w podgrójeckim Drwalewie.

Dowództwo wojsk lotniczych przygotowując plany wojny z Niemcami w przeddzień agresji niemieckiej na Polskę przygotowało Brygadę Bombową, której dowódcą został Władysław Heller. Jednostka ta posiadała 36 nowoczesnych samolotów typu PZL-P37B „Łoś", o zasięgu tysiąca km., prędkości 412 km na godz. i udźwigu aż 2580 kg, oraz 50 przestarzałych bombowców PZL-P-23B „Karaś", o zasięgu 1260 km, szybkości 319 km na godz. i udźwigu 700 kg bomb. Salwa wszystkich bombowców brygady wynosiła 70 ton bomb, co stanowiło dużą siłę uderzeniową.

Niestety dowódca brygady nie mógł użyć, na własny rozkaz, więcej niż jednego dywizjonu, a najwyżej trzy eskadry. Więcej samolotów do boju mógł rzucić jedynie dowódca lotnictwa, gdy tymczasem niemiecka Luftwaffe bezkarnie opanowywała polskie niebo.

A na kadłubach mieli lwy...

1 września 1939 r. o godzinie 5.40, dziewięć niemieckich bombowców typu „Junkers"-86, niespodziewanie zaatakowały lotnisko w Sadkowie – nie wyrządzając większych szkód. Za dwie godziny pojawiły się znów niemieckie samoloty, prowadząc wściekłe, ale mało skuteczne naloty na obiekty wojskowe, fabrykę broni, węzeł kolejowy oraz dzielnice mieszkaniowe.

Luftwaffe nie podarowała i Kielcom. Bombardowanie Kielc niemieccy lotnicy zaczęli od zbombardowania koszarów wojskowych na obrzeżach miasta.

Wobec groźby zniszczenia załóg, obsługi i sprzętu, 2 września władze wojskowe podjęły decyzję ewakuacji Szkoły Podchorążych Rezerwy Lotnictwa na wschodnie połacie Polski. Tego dnia o świcie nadszedł wreszcie rozkaz rozpoznania rejonu: Częstochowa-Lubliniec-Opole. Natychmiast wystartowały bombowce „Karaś" z godłem eskadry „Lew" na kadłubie, którymi dowodził porucznik obserwator Tomasz Kasprzyk. „Karasie" rozpoznały rejon walk i kierunek marszu oddziałów niemieckiej broni pancernej, a następnie zrzuciły 700 kg bomb na nieprzyjaciela, w rejonie Radomska.

W godzinach rannych dowódca II Dywizjonu Bombowego Lekkiej Brygady Bombowej major pilot Jan Biały, przybyły z lotniska Rakowice pod Krakowem, skierował na lot bojowy załogę w składzie: podchorąży obserwator Stefan Gębicki, plutonowy pilot Wacław Buczyłło i kapral strzelec Teofil Gara – na kierunek Częstochowa-Radomsko.

Wojska niemieckie ogromną siłą w sprzęcie i ludziach parły na lukę częstochowską. „Karasie" zaatakowały wojska niemieckie. Wnet pojawiły się samoloty niemieckie i w powietrzu rozegrała się dramatyczna walka. Polskie „Karasie" zdały egzamin. Z opresji wyszły cało.

Po powrocie na lotnisko mjr pil. Jan Biały skierował załogę na rozpoznanie w głąb III Rzeszy nad Odrę. W Oławie polscy lotnicy zrzucili 8 pięćdziesięciokilogramowych bomb na zakłady zbrojeniowe. I mimo pościgu odważna załoga szczęśliwie dotarła do macierzystego lotniska; nie zdając sobie sprawy, że weszła do historii, gdyż było to pierwsze bombardowanie III Rzeszy Niemieckiej w II wojnie światowej (za ten wyczyn mjr pil. Jan Biały został skarcony).

Tego samego dnia wystartowały następne samoloty na rozkaz mjr. pil. Jana Białego – bombardowały rozpoznane kierunki marszu armii niemieckich.

Dopiero 3 września 1939 r. mjr pil. Jan Biały otrzymał rozkaz: *„Bombardować kolumny zmotoryzowane w rejonie Radomsko – Pławno. Bombardowanie wykonać w formie nękania, kluczami po trzy samoloty, w odstępach co 10 minut."* Rozkaz był mocno spóźniony. Wojska niemieckie opanowały główne drogi, spychając wojska polskie na boczne i do lasów.

Z lotniska Wsoła i Kamień odrywały się klucze II Dywizjonu, obładowane po 700 kg bomb. Brały kurs na Częstochowę – Radomsko – Gorzkowice – Rozprza. Bombardowały niemieckie zagony pancerne i zmotoryzowane.

5 września przed wieczorem dowódca dywizjonu mjr pil. Jan Biały otrzymał rozkaz: przeniesienia dywizjonu do Podlodowia. Przy świetle latarek stajennych i bateryjek załadowano sprzęt i broń. „Karasie" odleciały. Na Kielecczyźnie toczyły się wtedy zaciekłe walki żołnierzy armii „Prusy" z pancernymi zagonami wroga – prącymi ku Wiśle. Wojska polskie na ziemi radomskiej i kieleckiej pozostawiono bez wsparcia lotników.

III.

Ppłk Wacław Wilniewczyc 5 września na własną rękę z rozbitków zorganizował grupę uderzeniową na południe od Kielc. Stawił czoło nacierającym wojskom niemieckim na Kielce. Nie pomniejsza to zasług w przygotowaniu obrony Kielc przez płk. dypl. Kazimierza Glabisza – oficera do zleceń Naczelnego Wodza, czy też płk. Aleksandra Idzikowa.

(Fragment nie drukowanej książki „Podwójna gra")

Stanisława Felcman

Nowy ślad

ZYGMUNT GAUL – prezes Stowarzyszenia „Rodzina Katyńska" członek prezydium Federacji Rodzin Katyńskich – przekazał nam oświadczenie złożone przez Mieczysława Nowaka wraz z dodatkowymi wyjaśnieniami. Według tego oświadczenia również w Starobielsku znajdują się szczątki polskich oficerów, którzy byli więzieni w tamtejszym klasztorze. Ze znanych faktów i domysłów, a obecnie już w większości wypadków potwierdzonych badaniami na miejscu, wynika, że oficerowie i inne osoby więzione w Starobielsku zostały zamordowane w okolicy Charkowa w Piatichatkach. Oświadczenie Mieczysława Nowaka sugeruje, że część z nich została zamordowana w pobliżu Starobielska. Oświadczeniem tym powinni zainteresować się ludzie zajmujący się badaniem zbrodni stalinowskich

J.G.

Czy w Starobielsku rozstrzeliwano?

Oświadczenie

W latach 1975-76 byłem zatrudniony w przedsiębiorstwie „Energopol" w Warszawie. Pracowałem na gazociągu w Charkowie w naczelnej dyrekcji, na stanowisku głównego specjalisty do spraw bhp.

Podczas moich wyjazdów kontrolnych do jednej z baz, w Nowopskowie zatrzymałem się na obiad w Starobielsku. W restauracji rozmawiałem ze starszymi Ukraińcami, którzy oświadczyli mi, że w latach 1939-40 w tutejszym klasztorze przebywało 4.500 oficerów polskich. Klasztor ten znajduje się w odległości 2 km od toru kolejowego, za którym przy drodze stoi pomnik radzieckiego czołgisty. Tam zostałem zaprowadzony i w wielkiej tajemnicy powiedziano: 400 m na wprost i 200 m na prawo, gdzie rośnie las, leżą kości polskich oficerów. Oficerowie byli prowadzeni z klasztoru nad torem i tam rozstrzeliwani z karabinu maszynowego, polewani benzyną i paleni. Na miejscu kaźni posadzono drzewa.

Oczywiście były przysięgi i przyrzeczenia dochowania tajemnicy.

Mieczysław Nowak

Zgodność odpisu z oryginałem stwierdzam:

Zygmunt Gaul

Dodatkowe wyjaśnienia i uzupełnienia dokonane przez Mieczysława Nowaka przy doręczeniu oświadczenia:

– składający oświadczenie: **Mieczysław Nowak**, zam. Łódź ul. Gdańska nr 116 m 1, były żołnierz Armii Krajowej 25 pp AK Ziemi Piotrkowskiej, odznaczony Krzyżem Virtuti Militari i Krzyżem Walecznych; (t. 362197)

– w czasie rozstrzeliwania oficerów polskich na torze kolejowym, przechodzącym przez las, stał pociąg z wagonami towarowymi;

– Ukraińcy, którzy składali tę informację obserwowali te egzekucje z ukrycia, byli oni stałymi mieszkańcami Starobielska;

– po egzekucji i spaleniu zwłok – szczątki zostały zakopane, a ziemia zaorana;

– rozstrzeliwania przeprowadzone były wiosną 1940r., na miejsce egzekucji oficerów doprowadzano w grupach 50-60 osób;

Dodatkowe uzupełnienia spisał:

Zygmunt Gaul

W Kijowie euforia: Ukraina ogłosiła niepodległość!

1. Ukraina ogłosiła niepodległość. Trudno nie zrozumieć euforii, w jaką wpadli Ukraińcy. Spełnia się oto marzenie wielu pokoleń. Przed laty Taras Szewczenko pisał:

Podpalili sąsiadowi
Dobrą chatę, nową,
Źli sąsiedzi, i spać legli
Zagrzawszy się zdrowo;
Zapomnieli siwy popiół
Rzucić na zawieje.
Leży popiół na rozdrożu,
A w popiele tleje
Ogromna skra płomienia.
Tleje skra, nie gaśnie,
Aż ją ktoś rozdmucha; czeka –
Niby mściciel właśnie –

I oto nadszedł ten moment. Nim jednak minęła euforia, już się zaczęły kłopoty. Borys Jelcyn – niekwestionowany przywódca Rosji – zapowiedział, że jeżeli ktoś się będzie chciał dołączyć, to Rosja będzie domagała się rewizji granic. Do Kijowa udały się natychmiast dwie delegacje z Moskwy. Jedna pod przewodnictwem Aleksandra Ruckoja, aby negocjować warunki podpisania Układu Związkowego, druga – pod przewodnictwem mera Leningradu Anatolija Sobczaka, aby negocjować sprawy przyszłych granic. Wprawdzie przewodniczący Rady Najwyższej na Ukrainie – Leonid Krawczuk oświadczył, że Ukraina nie ma żadnych pretensji terytorialnych, ale zawsze lepiej wszystko bezpośrednio omówić. Leonid Krawczuk bowiem powiedział:

– *„Ukraina nie ma do nikogo żadnych pretensji terytorialnych i ma nadzieję, że Rosja dotrzyma dwustronnej umowy zawartej w listopadzie ub. roku, w której obie republiki uznały swoje granice za ostateczne i nienaruszalne”.*

2.

Dziś Ukraina rozciąga się od Prypeci na północy do Morza Czarnego, od Bugu na zachodzie do Donu na wschodzie. Od początku 1654 roku, kiedy to Bohdan Chmielnicki w Pierejesławiu oddał lewobrzeżną Ukrainę w ręce cara Aleksego, rozpoczyna się powolne podporządkowanie Ukrainy Rosji. Ukraina miała do wyboru: albo polonizację, albo rusyfikację. Wybrano to drugie, może dlatego, że łączyła oba narody wspólna religia, a może dlatego, że szlachta ukraińska szybko się polonizowała i konflikt z chłopami ukraińskimi stawał się coraz ostrzejszy. Car Aleksy potwierdził kozackie swobody, ale Sicz Zaporoską ostatecznie zlikwidowała Katarzyna Wielka.

Wielu ludzi uważa, że Ukraina jest nierozerwalnie związana z Rosją. Aleksander Sołżenicyn w książeczce, wydanej w 1990 roku, zatytułowanej „Jak odbudować Rosję?” pomieścił też rozdział: „Słowo dla Ukraińców i Białorusinów”. Pisze, że *„to właśnie lud Rusi Kijowskiej stworzył państwo moskiewskie”* i że wspólnie cierpieli to, co im przyniósł komunizm. Pisze też:

„Ale skąd ten rozmach: na żywo odrąbać Ukrainę (również tę, gdzie nigdy dawnej Ukrainy nie było, jak „Dzikie Pole” koczowników – Nowa Rosja czy Krym, Donbas i nieomal do Morza Kaspijskiego). I skoro „samookreślenie narodu”, to właśnie naród powinien swój przyszły los określić s a m. Bez ogólnonarodowego referendum nie można tej sprawy rozstrzygnąć”.

Ten postulat akurat ma być spełniony. Ale tu warto przypomnieć głośną nie tak dawno sprawę Tatarów Krymskich, którzy pragną powrócić na Krym, skąd ich za czasów Józefa Stalina wysiedlono, za karę, że współpracowali z Niemcami, pragnąc wyzwolić się spod rosyjskiego i stalinowskiego panowania. I to jest zapowiedź tych kłopotów, które niewątpliwie czekają Ukrainę.

Przewodniczący Narodowego Ruchu Ukrainy – Iwan Dracz powiedział kilka dni temu:

– *„Rosja nigdy nie zazna spokoju, jeśli nie zrezygnuje z panowania nad innymi narodami”.*

Ale Rosja pamięta swoją przeszłość, a ta wiązała się z Wielką Rosją, z rosyjskim imperium, które i dziś bliskie jest sercu wielu rosyjskim nacjonalistom. KTT w „Polityce” sformułował bardzo trafną tezę o tym, że komunizm zamrażał niejako stan świadomości, polityczne układy, zamierzenia i cele. I dziś, gdy komunizm odchodzi, topią się lody i na widowni pojawiają się formacje polityczne i ideowe żywcem przeniesione sprzed 45, 50, 60, 70 i więcej lat. I nie tylko u nas. W Rosji również. Stąd obawy, że wzrost politycznego znaczenia Rosji w ZSRR może się skończyć powstaniem Wielkiej Rosji.

W ZSRR dokonywał się wielki ruch narodów i z tego powodu na Ukrainie mieszkają nie tylko Ukraińcy. Są tam między innymi Rosjanie i Polacy. Ludzie, którzy nie tylko pomni są konfliktów, ale i zbrodni wzajemnie popełnianych. I to określa skalę trudności, przed którymi stanie niepodległa Ukraina.

„Dzisiaj oddzielać Ukrainę – pisał w 1990 roku Aleksander Sołżenicyn – *to znaczy dokonać cięcia poprzez miliony rodzin i osób. Jakież tu wymieszanie ludności: całe obwody z przewagą Rosjan; iluż ludzi, którym trudno będzie wybrać dla siebie jedną z dwóch narodowości; ilu mieszanego pochodzenia; ile mieszanych małżeństw, których zresztą dotąd nikt nie uważał za „mieszane”. W szerokich masach ludności nie ma nawet cienia niechęci między Ukraińcami a Rosjanami.*

Bracia! Niepotrzebny ten okrutny rozbrat! Byłby on ponurym płodem lat komunizmu. Razem przecierpieliśmy sowieckie czasy, razem wpadliśmy w ten dół, to i razem się z niego wydostajmy”.

Czy Ukraińcy posłuchają Aleksandra Sołżenicyna? Czy nie uznają jego punktu widzenia za rosyjski, choć on sam przyznaje się, że jest *„niemal pół-Ukraińcem”* i w młodym wieku wzrastał *„wśród dźwięków ukraińskiej mowy”*. Zresztą sam Aleksander Sołżenicyn ma wątpliwości, czy tak się stanie, bowiem pisze:

„Oczywiście: gdyby naród ukraiński f a k t y c z n i e z a p r a g n ą ł się oddzielić, nikt nie będzie śmiał zatrzymać go siłą. Ale kraj to w swej rozległości różnorodny i tylko m i e j s c o w a ludność może rozstrzygać o losie swojej miejscowości, swojego obwodu, każda zaś mniejszość narodowa w takim regionie, jaka przy tym powstanie, powinna być tak samo wolna od wszelkiego przymusu”.

To piękne, ale Aleksander Sołżenicyn nie mógł wówczas, gdy to pisał, przewidzieć, z jaką siłą w Europie 1991 roku wybuchnie nacjonalizm, co ma dziś miejsce w Jugosławii, a do tej pory dawał o sobie krwawy znak na południu ZSRR.

3.

Bohdan Chmielnicki zmarł w Czehryniu w sierpniu 1657 roku i kazał się pochować w hutorze subotowskim. W pierwszej połowie XIX wieku Taras Szewczenko pisał:

Stoi we wsi Subotowie
Na górze wysokiej
Ukrainy grób ogromny,
Szeroki, głęboki –
Cerkiew. Bohdan błaga Boga
W niej o dobrą wolę,
By z Kozakiem dzielił Moskal
Dolę i niedolę.
Spokój duszy twej, Bohdanie!
Stało się inaczej:
Twoja Moskwa grabi wszystko,
Co jeno zobaczy.

Czy potrzebny ten okrutny rozbrat?

Gdy wiosną 1917 roku w Piotrogrodzie zdetronizowano cara Mikołaja II, gdy powstał Rząd Tymczasowy, w Kijowie powołano do życia Ukraińską Centralną Radę. Ukraińscy patrioci nie śmieli wówczas żądać suwerenności, domagali się jedynie autonomii. Rząd Tymczasowy w Piotrogrodzie był temu przeciwny.

Wypadki jednak toczyły się bardzo szybko. W czerwcu 1917 r. powołano Wolne Kozactwo – siłę zbrojną. Atamanem został carski generał Paweł Skoropadski. W tym samym czasie UCR powołała Sekretariat Generalny, który był zalążkiem autonomicznego rządu ukraińskiego. Wobec takich wydarzeń Rząd Tymczasowy w Piotrogrodzie poszedł na kompromis i zawarto porozumienie, na mocy którego sprawę autonomii pozostawiono do decyzji Ogólnorosyjskiego Zgromadzenia Ustawodawczego. Ale w październiku 1917 roku Sekretariat Generalny uznał się za najwyższą władzę na Ukrainie i 20 listopada 1917 roku wydał III Uniwersał, którym wyznaczył wybory do Ukraińskiego Zgromadzenia Konstytucyjnego na 9 stycznia 1918 roku. Wybory odbyły się tylko w niektórych rejonach, a Ukraińskie Zgromadzenie Konstytucyjne nigdy się nie zebrało.

W listopadzie 1917 roku doszło w Piotrogrodzie do kolejnej rewolucji, w wyniku której władzę przejęli bolszewicy. Na Ukrainie wystąpili przeciw Rządowi Tymczasowemu, co pozwalało ludziom nie zorientowanym w politycznych różnicach, uważać ich za sprzymierzeńców Ukraińskiej Rady Centralnej. Tymczasem bolszewicy na Ukrainie myśleli zupełnie o czym innym. W grudniu 1917 roku – po niepowodzeniach obrad w Kijowie – I Ogólnoukraiński Zjazd Rad Delegatów Robotniczych, Żołnierskich i Chłopskich proklamował Ukraińską Republikę Rad. Wybrano rząd. Premierem została Eugenia Boss, a następnie Mikołaj Skrypnyk. Utworzono pułk Czerwonych Kozaków. Poproszono o pomoc – już wtedy były te praktyki – rosyjskich czerwonogwardzistów. Na ich czele stanął Włodzimierz Antonow-Owsiejenko.

W lutym 1918 r. w Brześciu Litewskim Ukraińska Centralna Rada zawarła układ z Niemcami i Austro-Węgrami, na mocy którego za ziemie ukraińskie uznano również gubernię chełmską, co wywołało falę protestów tak w byłym Królestwie Polskim, jak i w Galicji. Pokój w Brześciu zawarła też Rosja. I tak na Ukrainie znalazły się wojska niemieckie. Wojna domowa była tu już w pełni. Działały też wojska ukraińskie podległe bolszewikom, Armia Ochotnicza gen. Antoniego Denikina, kozacy, ataman Nestor Machno, wojska polskie. Wiele miast Ukrainy – wraz z Kijowem – przechodziło z rąk do rąk.

4.

W styczniu 1918 roku Ukraińska Centralna Rada wydała IV Uniwersał, którym powołała do życia Ukraińską Republikę Ludową, a na czele rządu stanął Włodzimierz Wynnyczenko. Niemcy nie zamierzali jednak poważnie traktować Ukrainy. Ich interesowało tylko ukraińskie zboże i mięso. W kwietniu 1918 roku zażądano od Ukrainy przeszło 45000 ton mięsa, prawie milion ton zboża i 500000 sztuk jaj.

Ukraińcy natomiast sprawę swojej wolności traktowali poważnie. W marcu 1918 roku ustanowiono herb Ukrainy: stylizowany trójząb w wieńcu laurowym. Po ukraińsku: *Tryzub*. Podstawą do tego była moneta Włodzimierza Wielkiego, gdzie taki „tryzub” występował. Ten herb przyjęły później wszystkie odmiany ukraińskich ruchów niepodległościowych i nacjonalistycznych. W marcu 1919 roku w Charkowie obradował III Ogólnoukraiński Zjazd Rad, który uchwalił Konstytucję Ukrainy Radzieckiej, przyjął też herb: skrzyżowany sierp z młotem na tle promieni słonecznych, obramowany kłosami, z napisami w języku ukraińskim i rosyjskim: USRR i *„Proletariusze wszystkich krajów łączcie się!”*.

Niemcy zainteresowali się wolnościowym ruchem ukraińskim w 1907 roku. Powodem był fakt, że ruch ten, kształtujący się w XIX wieku, miał dwa ostrza: antyrosyjskie i antypolskie. Ukraina położona między Rosją i wówczas ziemiami polskimi a później odbudowującym się państwem polskim nie miała innego wyboru – szukała sojusznika w Niemczech. Ta praktyka była stosowana również w okresie międzywojennym i podczas drugiej wojny światowej z fatalnymi dla Ukrainy skutkami.

Ukrainą podczas trwania pierwszej wojny światowej interesowali się też Francuzi, Anglicy a nawet Amerykanie. Interesowali się nią również Polacy. Wojska Józefa Piłsudskiego szły przecież razem z wojskami Semena Petlury na Kijów. Józef Piłsudski miał w zamyśle federację polsko-ukraińską. Zamysł ten nie spełnił się. Przeszkodziła im między innymi Rosja. Ale nie tylko. Tyle że to już inny rozdział historii Ukrainy.

5.

Przeszłość nieustannie kładzie się cieniem na teraźniejszości i wpływa na kształt przyszłości. Przeszłość ciąży też nad przyszłością Ukrainy. Euforia mija szybko, pozostają problemy i kłopoty. A tych Ukrainie nie będzie brakowało.

Stanisław Straszyk

Łódź. 30.08.1991.

Kresy Wschodnie

Tulczyn na Podolu

W Kordaszówce moi rodzice spędzili szereg lat. Kordaszówka leży w pobliżu Tulczyna. Gdy odjeżdżali, zabrali ze sobą obraz cichego, kresowego miasteczka, położonego w najpiękniejszej części Podola. Dzieje Tulczyna stoją jakby w sprzeczności z tym niemal sielankowym obrazem.

Miasto położone jest przy ujściu Tulczynki do Sielnicy – dopływu Bohu. Najdawniejsze o nim wieści, bardzo skąpe zresztą, sięgają XIV wieku. Wtedy to Wielki Książę Litewski Olgierd, po wyparciu Tatarów z Podola, oddał bracławszczyznę swoim synowcom, książętom Kuriatowiczom.

W XVII wieku Tulczyn – już jako miasto – wraz z zamkiem znalazł się w rękach Czetwertyńskich. W 1648 roku zamek tulczyński, w którym schroniło się kilkuset rycerzy i trzykroć tyle okolicznych Żydów, napadło około 10000 hajdamaków pod wodzą Maksyma Krywonosa. Hajdamacy mieli przewagę i zażądali wydania im majątku Żydów chroniących się w zamku. A gdy to uzyskali, zażądali wydania Żydów w zamian za odstąpienie od oblężenia. Wstyd powiedzieć, ale obrońcy spełnili to żądanie. Wydali 1500 Żydów, których wymordowano. Po tym haniebnym czynie hajdamacy przystąpili do ataku, zdobyli zamek i wyrżnęli jego obrońców. Dowodzącemu obroną zamku, Januszowi księciu Czetwetyńskiemu – człowiekowi schorowanemu – piłą ucięto głowę.

Od Czetwertyńskich dobra tulczyńskie przejęli Potoccy. Początek rodzącej się świetności Tulczyna zakłócił dramat, obciążający jego nowych właścicieli. Syn Franciszka Potockiego – Szczęsny Potocki (tenże nieszczęsny dla Polski Potocki) zakochał się w pannie z sąsiedztwa – Gertrudzie Komorowskiej i poślubił ją bez rodzicielskiej zgody. Ślub odbył się potajemnie. Ojciec natomiast chciał, aby syn ożenił się z wojewodzianką Mniszkówną. Polecił więc, potajemnie poślubioną, synową porwać, osadzić w klasztorze i przeprowadzić rozwód. Gorliwi porywacze, w obawie, aby porwana krzykiem nie sprowadziła ratunku, tak ją docisnęli, że udusili. Przestraszeni swego czynu, utopili zwłoki w przerębli. Jest i inna wersja tej dramatycznej opowieści, według której niezadowolony z ożenku teść, kazał ją po prostu uśmiercić.

Tam, gdzie zagnieździła się narodowa zdrada

W 1775 roku Szczęsny Potocki wybudował w Tulczynie pałac. Na jego frontonie widnieje napis: *„Oby wolnych i cnotliwych był zawsze mieszkaniem”*. Po 20 latach brzmiał jak szyderstwo.

W maju 1784 roku Tulczyn gościł Stanisława Augusta. Dla upamiętnienia tego faktu Szczęsny Potocki kazał wznieść obelisk. Chłopom zamieszkałym na milę wokół miasta dano wolność. Gdy Tulczyn znalazł się pod władzą rosyjską obelisk zmienił nazwę. Stał się „Pomnikiem hr Potockiego”.

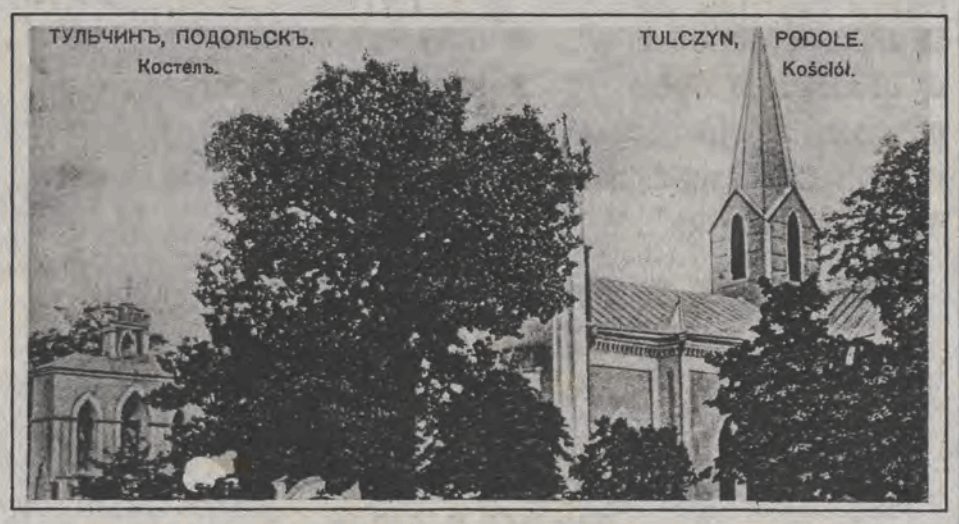

W okresie Sejmu Czteroletniego pałac tulczyński był opuszczony. Zaludnił się w 1792 roku, gdy zawiązano Konfederację w Targowicy. Konfederacja w czerwcu tego roku przeniosła się do Tulczyna. Pałac stał się rezydencją marszałka Konfederacji Szczęsnego Potockiego.

Szczęsny Potocki zmarł w 1805 roku (15 marca). Pochowano go w Tulczynie w kościele księży Dominikanów. W 1833 roku kościół Dominikanów przeznaczono na cerkiew. Zwłoki Szczęsnego Potockiego przeniesiono do kaplicy cmentarnej. Tu złodzieje wyrzucili szczątki trupa z trumny i obrabowali.

Tulczyn szybko tracił na znaczeniu. Nigdy to nie było duże miasto. Pod koniec XVIII wieku Tulczyn posiadał 179 domów i 264 na przedmieściach. Dziś Tulczyn leży w Ukraińskiej Republice, liczy 10000 mieszkańców i trudno w nim doszukać się śladów przeszłości.

Zenon J.Michalski

Kto spełni Państwa najskrytsze życzenia?

TYLKO RESTAURACJA

NOWA EUROPA

Al. Kościuszki 118

CZYNNA CODZIENNIE w godz. od 12 do 5 rano

- DRINK BAR z dużym wyborem napojów alkoholowych i nie tylko
- KAWIARNIA czynna w godz. od 10^{00} do 22^{00}
- DANCING w godz. od 21^{00} do 4^{00} rano

PROGRAM ARTYSTYCZNY – STRIPTEASE

- ORGANIZUJEMY bankiety, przyjęcia weselne

tel. 36-88-95

Pierwsza wpłata 20%
pozostałość 12 rat

NA RATY!!!

SERTAL

- Telewizory, videa, odtwarzacze, „Sony", „Panasonic", „Philips", „Samsung", „Funai", „Sharp"
- Anteny satelitarne
- Pralki, lodówki, zamrażarki, także duńskie dwukomorowe
- Sprzęt gospodarstwa domowego
- Oświetlenie
- Elektronarzędzia, pompy wodne, hydrofory, zachodnie sprężarki i spawarki (Minimagi)

PO ATRAKCYJNYCH CENACH W HURCIE I DETALU
w firmie „SERTAL"

Pawilon Łódź, ul. Franciszkańska 99 ☎ 57-60-47

---

for Businessmen

BB DANIO

Łódź, Sienkiewicza 3/5
tel. 33-88-17; fax. 33-05-78
tlx. 884221; od 8.00 do 16.00
wszystkie soboty od 9.00 do 15.00

Sprawdź bo stracisz!
dla BIUR I SKLEPÓW

- nowoczesne MEBLE z Danii i Włoch
- niezbędne KRAJALNICE spożywcze
- najtańsze KALKULATORY Citizen, Casio
- niespotykane SYSTEMY PREZENTACJI CEN
- najnowocześniejsze FAXY, CEN. TELEF. Hyunday
- rewelacyjnie tanie WYKŁADZINY PODŁOGOWE

& Babies

ŚMIESZNY sklepik „CLOWN"
oraz HURTOWNIA

swoim asortymentem rozbawi i CIEBIE
Artykuły do robienia żartów:

- znikający atrament
- brudzące mydełko
- kaszląca popielniczka
- cukierki niespodzianki
- wesołe lusterka
- duży wybór masek
- karty do gry, z którymi na pewno wygrasz
- oraz inne straszne lub śmieszne artykuły

DLA ODWAŻNYCH I WESOŁYCH

WEJDŹ! SPRAWDŹ! KUP!
PRZEKONAJ SIĘ SAM!
„ŚMIECH TO ZDROWIE – BAW SIĘ RAZEM Z NAMI"
U NAS KUPISZ NAJTANIEJ

Znajdziesz nas w drugim podwórzu
przy ul. Piotrkowskiej 69
tel. 32-68-61 – sklep
32-40-01 – dom

MIKROKOMPUTERY PC
386 TANIEJ!
Przykładowe ceny w mln zł

286/12 MHz – 7,3	386/25/64 CACHE – 13,4	STAWIAMY
286/16 MHz – 7,8	486/25/128 CACHE – 20,8	NA
386/25 MHz – 11,8	486/33/128 CACHE – 22,5	JAKOŚĆ

Wszystkie zestawy zawierają: FD 1.2 MB, HD 44 MB, hercules, monitor 14" mono, I/O, klawiatura 101, obudowa, zasilacz 200 W. Prowadzimy konserwację i naprawy sprzętu komputerowego. RODEX Sp. z o.o., tel. bezp. 52-40-68 lub 52-51-90 w. 190, 193, Łódź, ul. Szparagowa 6/8, fax 52-10-07.

„DAMIS"

bezpośredni importer – poleca:
ARTYKUŁY I ZABAWKI DO ROBIENIA ŻARTÓW, m.in.

- znikające atramenty
- sztuczne kupy
- brudzące mydła
- tańczące puszki
- I OKOŁO 150 INNYCH ATRAKCYJNYCH ZABAWEK TEGO TYPU

Łódź, tel. 56-01-88

BIURO USŁUG TURYSTYCZNYCH **JANOSIK**

90-361 Łódź, ul. Piotrkowska 270, XIV piętro, pok. 1404
tel. 84-70-24, 81-02-11 w. 474, 196, fax 81-59-27

PROPONUJE

- WŁOCHY: 11 dni. objazdowa autokarowa, cena 1,4 mln zł + 145 USD (wyżywienie własne)
- HISZPANIA: Callela de la Costa k. Barcelony, 19 dni, pełne świadczenia, ceny: 5,9 – 8,25 mln zł
- USA – KANADA: 10, 14, 18 dni, sierpień-październik, ceny w USD
- EUROPA ZACHODNIA: imprezy indywidualne (wyjazdy na zamówienie), ceny 0,6 – 2,0 mln zł
- OBOZY WSPINACZKOWE: w Jurze Krakowsko-Częstochowskiej i w Czechosłowacji dla osób powyżej 16 roku życia, 15 dni, cena: 0,9 mln zł
- ZAKOPANE: terminy dowolne! ceny: 65 tys. zł za dobę od osoby

OD WRZEŚNIA

- JAPONIA: 13 dni, cena: 6,5 mln zł + 250 USD
- CHINY – PEKIN: 10 dni, 6,5 mln zł + 240 USD
- INDIE: 13 dni (8 dni w Delhi), cena: 6,5 mln zł + 170 USD
- SEUL: w przygotowaniu! cena ok. 9 mln zł

PRZEJAZDY DO PARYŻA w każdy piątek, ceny: w 1 stronę – 690 tys. zł, w 2 strony – 990 tys. zł

ZAPRASZAMY

WYJAZDY DO ANGLII
i z powrotem
● TANIO ● WYGODNIE
MINIBUS z domu do domu
Tel. Łódź 15-46-15

SOBIERADEK

94-042 Łódź, ul. Florecistów 1 (Retkinia), tel.: 86-42-54

- glazura i terakota mrozoodporne (import Włochy, Szwajcaria)
- boazerie i listwy
- okucia meblowe i budowlane
- płyty laminowane, wiórowe i pilśniowe
- meble kuchenne i ogrodowe
- farby, lakiery i tapety
- narzędzia i elektronarzędzia
- maszyny do obróbki drewna
- sprzęt instalacyjno-sanitarny
- usługi cięcia płyt

Godziny otwarcia: poniedziałek – piątek 10.00-18.00

TELEGAZETA

W TWOIM TELEWIZORZE
MONTAŻ DEKODERÓW TELEGAZETY

w odbiornikach TV produkcji polskiej i zachodniej, m.in.:
SONY, SANYO, PANASONIC, SAMSUNG, ROYAL, ULTRAVOX, TOSHIBA i wielu innych

Proponujemy również adaptację zachodnich telegazet do odbioru znaków polskiego alfabetu

J.W. ELECTRONICS

Łódź, ul. Serenady 5a **tel. 48-80-15**

SOBOTA

7 września

PROGRAM I

7.30 Program dnia
7.35 Wszystko o działkach
8.00 Wiadomości poranne
8.10 Agro-rynek
8.40 Na zdrowie – magazyn rekreacyjny
9.00 Ziarno – program redakcji katolickiej
9.25 Film animowany produkcji USA
9.45 5-10-15 – program dla dzieci i młodzieży
10.55 Wojskowy program dokumentalny
11.20 Telewizyjny koncert życzeń
11.55 Aktualności telegazety
12.00 Wędrówki dalekie i bliskie
12.30 Program redakcji rolnej
12.50 Siódemka w Jedynce
14.00 Walt Disney przedstawia: Kacze opowieści – Psia miłość (2)
15.15 Z archiwum Teatru Telewizji – Aleksander Fredro – Trzy po trzy (1977 r.)
16.30 Mrs Polonia '91
17.15 Teleexpress
17.30 Butik – magazyn Grażyny Szczęśniak
18.00 Film dokumentalny
19.15 Dobranoc
19.30 Wiadomości
20.05 Gliniarz z Beverly Hills – film produkcji USA (1984 r., 105 min.) reż. Daniel Petri, wyk: Eddie Murphy, Judge Reinhold, Brigitte Nielsen
21.50 Sportowa sobota
22.40 Wiadomości wieczorne
23.05 Jedyne wyjście – dramat obyczajowy produkcji angielskiej (1989 r., 95 min.), reż. Robert Young.

PROGRAM II

10.40 Tacy sami
11.00 PKF
11.10 Akademia polskiego filmu
12.40 Reportaż
13.00 Zwierzęta świata
13.30 Klub Yppiers
14.00 Wzrockowa lista przebojów Marka Niedźwieckiego
14.30 Sonda
15.00 Program dnia
15.20 Obrazy, słowa, dźwięki
16.00 Ekspres reporterów
16.30 Teleturniej
17.00 Dziennik Dwójki
17.10 Pan wzywał, milordzie? – serial
18.00 Program lokalny
18.30 Wielka gra
19.30 Galeria 38 milionów
20.00 Przeboje Bogusława Kaczyńskiego
21.00 Dziennik Dwójki
21.15 Słowo na niedzielę
21.20 Lepiej późno niż wcale
21.45 Bez znieczulenia
22.00 Serial filmowy
23.00 Dziennik Dwójki
23.10 Lepiej późno niż wcale

NIEDZIELA

8 września

PROGRAM I

7.55 Program dnia
8.00 Tydzień
9.00 Teleranek oraz serial produkcji szwedzkiej wg powieści Astrid Lindgren – Dzieci z Bullerbyn (1)
10.30 Przygody roślin – serial przyrodniczy. – Dąb i trzcina
10.55 Notowania, czyli co się opłaca rolnikowi
11.20 Telewizyjny koncert życzeń
11.50 Dramat na wodzie – wojskowy program dokumentalny
12.15 Tęczowy music-box – koncert galowy Konin 91, cz. 3
13.00 Magazyn Morze
13.20 Dzieje kultury polskiej – film dokumentalny J. J. Kolskiego
14.15 Pieprz i wanilia. – W krainach zielonego smoka i śpiewających syren.
14.55 Telewizjer
15.15 Służewiecka rewia – reportaż
15.45 W starym kinie: Zapomniana melodia – komedia produkcji polskiej z 1938 r., reż. Konrad Tom, Jan Fethke
17.15 Teleexpress
17.30 Country Piknik – Mrągowo '91 (1)
18.20 Dziennikarze ujawniają
19.00 Wieczorynka – Walt Disney przedstawia: Gumisie
19.30 Wiadomości
20.05 Kim jest ten chłopak? (6-ost.) – serial prod. francuskiej
21.00 Sportowa niedziela
21.20 7 dni – świat
21.50 Jonasz – Wspomnienie o Jonaszu Kofcie

PROGRAM II

10.50 Magazyn przechodnia
11.00 Reportaż
11.30 Podróże w czasie i przestrzeni
12.15 Podaj łapę
12.30 Express Dimanche
12.45 Program muzyczny
13.10 100 pytań do...
13.50 Kino familijne
14.10 Gość Dwójki
14.50 Studio sport
15.25 Film dokumentalny
16.20 Teleturniej
16.50 Program dnia
17.00 Dziennik Dwójki
17.05 Studio sport
18.00 Bliżej świata
19.00 Wydarzenie tygodnia
19.30 Publicystyka kulturalna
20.00 IX Symfonia E-moll, op. 95 – Antoni Dworzak
21.00 Dziennik Dwójki
21.15 Podzieleni, ale równi – dramat obyczajowy
23.00 Dziennik Dwójki
23.10 Jestem tobą – recital Agnieszki Fatygi

PONIEDZIAŁEK

9 września

PROGRAM I

15.30 Uniwersytet Nauczycielski
16.00 Program dnia
16.05 Wiadomości popołudniowe
16.15 Luz
17.15 Teleexpress
17.30 Rock-express
17.55 Studio sport
18.05 Alf – serial
18.30 Narody, kraje, wydarzenia
19.15 Dobranoc – Reksio
19.30 Wiadomości
20.05 Teatr Telewizji – Josif Brodski – Demokracje
21.00 ABC ekonomii
21.00 Studio sport
21.55 Leksykon polskiej muzyki rozrywkowej
22.35 Wiadomości wieczorne
22.55 Wiersze na dzień powszedni
23.00 BBC

PROGRAM II

16.30 Dziennik Dwójki
16.40 Powitanie
17.00 Studio sport
17.30 Lekarz też człowiek (2) – Wyprawa na wieś
18.00 Program lokalny
18.30 Ojczyzna polszczyzna – Od ogurka do ogórka
18.45 Seans filmowy – Przygoda w kinie – program Ewy Banaszkiewicz
19.25 Zapraszamy do Dwójki
19.30 Muzyczny świat Shina Miyashity – wirtuoz gra na koto
20.00 Pół godziny nowoczesności – program Stefana Bratkowskiego
20.30 Kopalnia Śląsk – reportaż Dariusza Króla
21.00 Dziennik Dwójki
21.20 Z dziejów parlamentaryzmu
21.35 Maria w błękitnym mundurze (2) – Szalony dzień generała Despecka – serial prod. francuskiej
22.55 Sport
23.05 Ekstra (1) – Tożsamość kulturalna – magazyn
24.00 Dziennik Dwójki

WTOREK

10 września

PROGRAM I

12.00 Agroszkoła
12.30 Poszukiwanie porządku wszechświata
12.45 Fizyka
13.15 Chemia
13.45 Film dokumentalny
14.00 Przybysze z Matplanety
14.30 Przygody kapitana Remo
14.45 Świadkowie przeszłości
15.00 Michał Łomonosow
15.25 Sezam
15.50 Klub midi
16.00 Program dnia
16.05 Wiadomości
16.15 Tik – tak
16.45 Kino Tik – Taka
17.15 Teleexpress
17.30 Listy o gospodarce
17.55 Piłkarska kadra czeka
18.05 Królik Bugs
18.30 W Sejmie i Senacie
19.15 Dobranoc
19.30 Wiadomości
20.05 Nazywam się Billy W. – dramat obyczajowy prod. USA
21.45 ABC ekonomii
22.00 Program publicystyczny
22.45 Wiadomości wieczorne
24.00 BBC

PROGRAM II

8.10 Denver – ostatni dinozaur – serial
8.35 Magazyn telewizji śniadaniowej
9.00 W labiryncie – serial
10.00 CNN
16.30 Dziennik Dwójki
16.40 Powitanie
17.00 Przegląd kronik filmowych
17.30 Pod wspólnym dachem (10) – serial
18.00 Program lokalny
18.30 Modlitwa wieczorna
18.50 Sztuka świata zachodniego (2) – serial
19.20 Film dokumentalny
20.00 XII Przegląd Piosenki Aktorskiej – Wrocław '91 – laureaci
21.00 Dziennik Dwójki
21.20 Sport
21.30 Rozmowy o cierpieniu
21.45 Dorastanie (5) – serial
22.45 Gość Dwójki
22.55 Non stop kolor
24.00 Dziennik Dwójki

ŚRODA

11 września

PROGRAM I

12.00 Agroszkoła
12.30 De Gaulle – Ciągle wyzwania (1) – serial
13.30 Katalog zabytków
13.40 Spotkanie z literaturą
14.10 Szyk polski, czyli Bonerski w Zachęcie
14.45 Rody polskie
15.30 Uniwersytet Nauczycielski
16.00 Program dnia
16.05 Wiadomości popołudniowe
16.15 Dla młodych widzów
16.45 Kino nastolatków
17.15 Teleexpress
17.30 Reportaż
17.55 Klinika zdrowego człowieka
18.15 Teleturniej
18.30 Encyklopedia II wojny światowej
19.00 Świat i my
19.15 Dobranoc
19.30 Wiadomości
20.05 Dynastia (100)
20.50 ABC ekonomii
21.00 Rozmowy z rzecznikiem praw obywatelskich
21.15 Studio sport
22.15 Wiadomości wieczorne
22.35 Wiersze na dzień powszedni
22.40 BBC

PROGRAM II

8.10 Ulisses – serial animowany produkcji francusko-amerykańskiej
8.40 Magazyn telewizji śniadaniowej
9.00 W labiryncie – serial TP
10.00 CNN
16.30 Dziennik Dwójki
16.40 Powitanie
17.00 Meandry architektury – Architektura i krajobraz
17.30 M.A.S.H. – serial produkcji USA
18.00 Program lokalny
18.30 National Geographic – Poszukiwacz (2) – Operatorzy śmiałkowie – serial dokumentalny produkcji USA
19.20 Przeboje na smyczki
19.40 Studio im. Andrzeja Munka
21.00 Dziennik Dwójki
21.20 Moja piękna pralnia – film fabularny
22.55 Sport
23.05 Telewizja nocą
24.00 Dziennik Dwójki

CZWARTEK

12 września

PROGRAM I

12.00 Agroszkoła
12.20 Ekonomika dla rolnika
12.35 Film dokumentalny
13.45 Opowieści księżniczki Lilavatii
14.00 Mieszkamy w Polsce
14.25 Film przyrodniczy
14.50 Puls – 360° dookoła ciała
15.30 Wokół ziemi
16.00 Program dnia
16.05 Wiadomości popołudniowe
16.15 Kwant
17.15 Teleexpress
17.30 Telemuzak
18.10 Laboratorium
18.30 Reportaż
18.50 Magazyn katolicki
19.15 Dobranoc
19.30 Wiadomości
20.05 Elita (5-ost.)
21.00 ABC ekonomii
21.05 Goście Andrzeja Zarębskiego
21.25 Pegaz
22.00 Program publicystyczny
22.45 Wiadomości wieczorne
24.00 BBC

PROGRAM II

8.10 Film dla dzieci
8.40 Magazyn telewizji śniadaniowej
9.00 W labiryncie
10.00 CNN
16.30 Dziennik Dwójki
16.40 Powitanie
17.00 Giełda – magazyn kupców i przemysłowców
17.30 Cudowne lata (45)
18.00 Program lokalny
18.30 Człowiek nie wiadomo skąd, czyli portret Richarda Burtona (1) – film dokumentalny produkcji angielskiej, reż. Tony Palmer
19.30 W Żelazowej Woli gra Anna Jastrzębska
20.00 Studio sport
21.00 Dziennik Dwójki
21.20 Sport
21.30 Film fabularny
23.10 Wielka Mozariada warszawska
24.00 Dziennik Dwójki

PIĄTEK

13 września

PROGRAM I

13.05 Eko – Lego
13.35 Trudna historia
14.05 Religie i kościoły w Polsce
14.35 Na starcie
15.00 Telewizja edukacyjna zaprasza
15.30 Uniwersytet nauczycielski
16.00 Program dnia
16.05 Wiadomości
16.15 Ciuchcia
17.15 Teleexpress
17.30 Klub dobrej książki
18.00 Napoleon (2)
19.00 Reflex
19.15 Dobranoc
19.30 Wiadomości
20.05 Miasteczko Twin Peaks (19) – serial
20.50 ABC ekonomii
21.00 Zespół publicystyki Zapis przedstawia...
21.40 Wielki koncert Phila Collinsa, cz. 2
22.30 Wiadomości wieczorne
22.50 Wiersze na dzień powszedni
22.55 Siódemka w Jedynce
23.55 BBC

PROGRAM II

8.10 Lucky Luck – serial animowany produkcji USA
8.40 Magazyn telewizji śniadaniowej
9.10 W labiryncie – serial TP
10.00 CNN
16.30 Dziennik Dwójki
16.40 Powitanie
17.00 Dookoła świata – W Ziemi Obiecanej
17.30 – 21.00 Program regionalny
21.00 Dziennik Dwójki
21.20 Sport
21.30 Lepiej późno niż wcale – magazyn
22.00 Nie zawsze musi być kawior (10) – serial produkcji niemieckiej
24.00 Dziennik Dwójki
0.10 Lepiej późno niż wcale – magazyn

HURTOWNIA RITEX®
ZAPRASZA
Łódź, ul. Rzgowska 2A tel. 84-52-26
od godz. 8 do 18
POLECAMY
WINO IMPORTOWANE
KIJAFA WIŚNIOWA
0,7 i 1 l
Ceny konkurencyjne!

SKLEP FIRMY
maxbud
Łódź, ul. Pojezierska 6/8
(pawilon, I piętro)
oferuje:
- boazerie i listwy
- drzwiczki i kowbojki
- farby i lakiery
- okucia i inne art. wykończeniowe

Lewym okiem

Minister w literaturze

Pewien uczony polski filolog obliczył przed wojną ile razy Mickiewicz użył w „Panu Tadeuszu" litery „a". Jaki wniosek wyciągnął z tej pracy ów uczony – nie pamiętam. Chwycił się tej pierwszej głoski alfabetu jak tonący chwyta się brzytwy, jak gdyby poszukując za wszelką cenę tematu polonistycznego, jeszcze nie tkniętego „stopą ludzką". A przecież tak łatwo znaleźć ogromne mnóstwo literaturoznawczych tematów. Podaję receptę: bierze się jakikolwiek słownik, otwiera się na literę „m": mózg, mundur, mur, murzyn. I teraz już wystarczy tylko dodać parę słów. „Mózg w literaturze polskiej"; „Mundur w literaturze ostatniego ćwierćwiecza"; „Mur, jako pojęcie filozoficzne" – i tak dalej.

Pozostańmy przy murze. Uczonej rozprawy na temat tego pojęcia nie napiszę, to wymagałoby całego, pracowitego żywota, ale spróbujmy skreślić króciutki, wstępny szkic. Czy mur zagradza wolną drogę, a więc ogranicza wolność, czy może bronić wolności przed agresorem? W powieści Sartre'a pod takim właśnie tytułem, „Mur" – była to metafora oznaczająca coś, co niepodobieństwem czyni porozumienie się dwojga osób, oddziela je od siebie zawsze i wszędzie jak niedotykalna, nieprzebyta ściana – i można filozofować długo i mądrze.

W komedii naszego Fredry „Zemsta za mur graniczny" dwie rodziny żyją w wieloletniej, wzajemnej nienawiści z tak błahego powodu jak postawiony na granicy ich włości mur. Czy powinien on stać dwie piędzi w lewo czy pół stopy w prawo. I znów mamy temat do setek doktorskich rozpraw.

Bogactwo tematyczne wzrasta stokrotnie kiedy sięgniemy po słowa pochodne. Weźmy „przedmurze". Przedmurze to, jak wiemy, w średniowieczu ta część miasta, która leży poza obronnymi umocnieniami. Wewnątrz, otoczeni ciasno potężnym murem, żyją ludzie i uważają, że to właśnie oni są wolni. „Inter muros libertas", a z niemiecka „Die Stadtluft macht frei". Nie każdego stać było na osiągnięcie tej miejskiej wolności od pańszczyźnianego ucisku, wielu więc osiedlało się na przedpolu, wiedząc, że przy jakiejkolwiek zawierusze ich domy zostaną zrównane z ziemią. Nazwaliśmy siebie „przedmurzem chrześcijaństwa" i uważaliśmy to za powód do chwały. A może byliśmy przedmurzem Germanii? Wszystkie najazdy Tatarów, Turków, Szwedów, Litwinów – zanim dotarły do Niemiec – pustoszyły przedmurze czyli Polskę. W połowie XVII wieku, w czasie „Potopu", Jan Kazimierz z opactwa w Tyńcu spoglądał na płonący Kraków. Ale to nie szwedzcy najeźdźcy podpalili naszą ówczesną stolicę. To hetman Czarniecki palił

Cd. str. 14

● Po spotkaniu z Janem Pawłem II oraz po ostatnich wydarzeniach w ZSRR, w Polsce znalazło się wielu Rosjan, którzy u nas chcieliby przynajmniej przez pewien czas pozostać. Określenie „wielu Rosjan" jest jak najbardziej trafne, gdyż podaje się różne wielkości: 60 tysięcy, 155 tysięcy a nawet milion. Ta ostatnia liczba obejmuje chyba również tych, którzy do Polski przyjeżdżają w celach handlowych. Szefowie policji w Krakowie zwierzyli się reporterowi „Wprost", że brak znajomości liczby Rosjan, którzy przybywają do Polski, dowodzi o bezradności straży granicznej i innych służb odpowiedzialnych za bezpieczeństwo kraju. – *„Jak można* – powiedzieli reporterowi „Wprost" – *odpowiadać za bezpieczeństwo państwa, nie wiedząc, kto przebywa na naszym terytorium?"* – Okazuje się, że można. Polska to kraj wielkich możliwości. Niestety.

● Po spotkaniu prezydenta Lecha Wałęsy z weteranami ZJM skomentował:

Rzecz się stała, mili państwo, niepojęta,
Emeryci zakrzyczeli prezydenta.
Nie pochwalam zachowania, jakże złego,
Ale myślę – a kto ich nauczył tego?

● Marek Cieślak – wicewojewoda sieradzki powiedział wychodzącemu w Sieradzu pismu „Goniec": *„Gorbaczow sam sprowokował lub co najmniej kontrolował przebieg przewrotu.*

Potrzebował koniecznie jakiegoś sukcesu i ma go wreszcie. Charakterystyczne, że przed zamachem Gorbaczow miał najniższe notowania w opinii od początku swoich rządów. Chciał więc upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu – podreperować swój image w społeczeństwie i „załatwić" przeciwników. Bluff udał się jednak tylko częściowo – faktycznym zbawcą kraju stał się Jelcyn". Każdy ma prawo do wygłaszania swoich opinii. Na tym – między innymi – polega demokracja. Ale naszym skromnym zdaniem Marek Cieślak marnuje się w Sieradzu. Powinien nim się zainteresować minister Krzysztof Skubiszewski albo – w najgorszym wypadku – prezes Marian Terlecki. Do MSZ lub na komentatora powinni wziąć tak wnikliwego myśliciela!

● Jest takie pismo „Donosiciel". Zamieściło ono nekrolog następującej treści: *„Ze smutkiem zawiadamiamy, że 14 sierpnia 1991 roku po zapoznaniu się z działalnością spółki „Telegraf", założonej przez najbliższych współpracowników pana prezydenta Lecha Wałęsy, zmarła nasza wiara w piękne hasła „Solidarności". Pogrążone w żałobie grono obywateli. Dom żałobny: III Rzeczpospolita".* Członkowie NSZZ „Solidarność" Rolników Indywidualnych Regionu Pomorsko-Zachodniego doszli do wniosku, że treść anonsu ubliża prezydentowi RP i zwrócili się do Prokuratury Wojewódzkiej w Szczecinie o ujawnienie nazwiska redaktora naczelnego „Donosiciela" oraz przykładnego ukarania winnych, zamknięcia zakładu poligraficznego, gdzie drukuje się „Donosiciel" oraz redakcji. Redakcja i drukarnia mieszczą się w Poznaniu. Pieniądze uzyskane od skazanych mają być przekazane na domy dziecka i spokojnej starości.

W najbliższym czasie należy oczekiwać wniosku o przywrócenie cenzury.

● W Szczytnie ukazuje się pismo „Kurek Mazurski". Reporter tego pisma zapytał Marylę Rodowicz, czy odpowiada prawdzie to, co pisała niedawno o niej „Gazeta Olsztyńska". Maryla Rodowicz oświadczyła: *„Po pierwsze – nie mam daczy, wynajmuję dom w Nartach. Po drugie – nawet gdybym miała, to co z tego? Przecież nie byłam urzędnikiem państwowym, nie kradłam, ani nie kombinowałam. Byłam w czasach komunistycznych piosenkarką, ludzie przychodzili na koncerty z własnej woli, zarabiałam jakie takie pieniądze, więc gdybym bardzo chciała, to pewnie daczę bym miała".* Maryla Rodowicz zapowiedziała pozwanie do sądu dziennikarza „Gazety Olsztyńskiej", który o tym pisał. Szkoda, że sąd nie może karać za głupotę, zawsze byłby jakiś dopływ pieniędzy do budżetu.

● Z kilku warszawskich bibliotek na Żoliborzu zniknęły kartoteki czytelników. Podejrzewa się, że mogą one posłużyć jako listy popierające kandydatury na posłów. Z Łodzi donoszą, że po mieszkaniach emerytów chodzą ludzie, którzy obiecują rewaloryzację emerytur za poparcie listy kandydatów jednego z chrześcijańskich ugrupowań politycznych. Robi się coraz ciekawiej!

● Jerzy Kropiwnicki – zgodnie z wcześniejszą zapowiedzią – wystąpił do sądu o odszkodowanie za skazanie go w 1981 r. niezgodne z prawem. Domagał się przyznania złotówki za każdy dzień bezprawnego siedzenia w więzieniu. Wyszło 995 zł. Od samego Jerzego Kropiwnickiego wiemy, że jedną złotówkę oprawi w ramki i powiesi w pokoju. Co zrobi z 994 zł nie chciał powiedzieć. Na rozprawie obecni byli dziennikarze. Przedstawiciel „Gazety Łódzkiej" czytał jakąś gazetę, co sąd skomentował, że nikt nie ma obowiązku przysłuchiwania się rozprawie. Kiedy jednak adwokat Stanisław Maurer zastanawiał się nad tym, co można kupić za sumę 995 zł i powiedział, że „Dziennik Łódzki", „Głos Poranny" albo „Gazetę Wyborczą" przedstawiciel tej redakcji („Gazeta Łódzka" jest lokalnym dodatkiem „Gazety Wyborczej") gorąco zaprotestował. Za 995 zł „Gazety Wyborczej" kupić nie można.

B.M.

CZYTELNICY PISZĄ

W rubryce tej zamieszczamy teksty zawierające poglądy lub opinie, które redakcja nie zawsze podziela

Brawo redaktorze, oby tak dalej!

Ze zdziwieniem przeczytałam na łamach „Odgłosów" (nr 13 z 18.08.1991) list pani Olgi Krawczyk z Łodzi w sprawie artykułu „Znudzona sobą" pióra Bohdana Gadomskiego w jego poczytnym cyklu „Podsłuchane, podpatrzone, odnotowane". Tylko nielicznym polskim tygodnikom udaje się opublikować zakulisowe, intrygujące, często wręcz sensacyjne lub po prostu pikantne informacje z życia znanych, publicznych postaci, bo w większości bazuje się na przedrukach plotek i ciekawostek z czasopism światowych. Nas, czytelników polskiej prasy, przede wszystkim interesują kulisy życia znanych wszystkim ludzi mieszkających i pracujących w Polsce. Z ogromnym więc zadowoleniem powitałam nowy cykl pod redakcją Bohdana Gadomskiego, bez którego nowe „Odgłosy" byłyby raczej smutne. To tak jak z dobrą potrawą, która obok soli wymaga także pieprzu.

W artykule „Znudzona sobą" poświęconym Alicji Resich- Modlińskiej nie ma „rewelacji i sensacji", których dopatruje się czytelniczka Krawczyk, a którą ja z kolei podejrzewam, że czyta wyłącznie „Przyjaciółkę" lub „Żyjmy dłużej", bo myśli kategoriami ciotki-klotki. W artykule „Znudzona sobą" nakreślony jest wyjątkowo celnie i obiektywnie wizerunek znanej prezenterki telewizyjnej, która w ostatnim czasie rzeczywiście jest nudna i nie ma nam, telewidzom, niczego interesującego do przekazania. Czytałam podobne negatywne opinie różnych autorów na temat Alicji Modlińskiej, a także obszerny wywiad z nią samą pióra właśnie... Bohdana Gadomskiego na łamach dwutygodnika „Ty i My". Nie sztuką jest wypisywać podobne do siebie laurki na temat tych samych osób, lecz odwagą jest rozmawiać z nimi, a jeśli zasłużą na krytykę – wykazać błędy, potknięcia itp. Myślę, że na tym polega prawdziwy obiektywizm dziennikarza. I nawet, żeby wypisywać głupstwa, proszę pani, trzeba się nad nimi zastanowić, a nie ośmieszać w listach do redakcji, której z kolei dziwię się, że publikuje kalumnie spreparowane przeciwko swoim najpoczytniejszym autorom.

Brawo redaktorze, oby tak dalej! Czekamy na kolejne wydarzenia z cyklu „Podpatrzone, podsłuchane, odnotowane", dzięki któremu możemy wreszcie spojrzeć na znane postaci z różnych stron.

Maria Dzięcioł
Tomaszów Mazowiecki

Czy za miedzą Wielka Rosja?

„Pucz, pucz i po puczu" – pisały niektóre gazety o niedawnych wydarzeniach w ZSRR, a byli i tacy, którzy mówili: – „Puc, puc i po pucu". Dziś wszystko wskazuje na to, że nie mieli racji, pamiętać jednak trzeba, iż nie zawsze skutki bywają zgodne z intencjami.

Szybko występujące po sobie wypadki doprowadziły do wykreowania nowego bojownika demokracji. Z dnia na dzień Borys Jelcyn stał się kandydatem do Pokojowej Nagrody Nobla.

Po upadku puczu świat odetchnął z ulgą, odetchnęliśmy i my. Ale nowa sytuacja w ZSRR stawia kilka pytań, z których pierwsze dotyczy polskich interesów.

Gdy u progu lat osiemdziesiątych „Solidarność" rozpoczynała swój marsz od socjalizmu, na Polsce skupiła się uwaga świata. Stanowiliśmy ważny, bodaj czy chwilami nie najważniejszy, punkt w globalnej polityce Zachodu. Lech Wałęsa był bohaterem dnia, miesiąca, roku, dekady. Czas wprawdzie robił swoje i wygasały emocje, ale hasło: „polski przykład" nadal elektryzowało.

Niedawno nieudany zamach stanu w ZSRR wiele zmienił. Teraz w centrum znalazła się Moskwa, a Borys Jelcyn staje się osobistością nr 1 na obszarze dawnego systemu socjalistycznego. W Polsce i słusznie życzono zamachowcom, aby ich diabli wzięli, co nie zmienia faktu, że gdyby zamach udał się i potrwał taki stan kilka miesięcy, to mogłoby nam to ułatwić wejście w struktury Wspólnego Rynku. Może zwiększyłoby to pomoc dla przedmurza kapitalizmu, a tak przyjdzie jeszcze trochę poczekać, a może i bardzo długo.

Wszystko wskazuje na to, iż rozpoczyna się rozpad Kraju Rad. Ukształtować się może federacja suwerennych państw z Rosją pretendującą do roli hegemona. Konsekwencją takiego stanu rzeczy byłby powrót do dawnego układu: Polski położonej między Niemcami a Rosją. Między Wielkimi Niemcami, co już widać, a Wielką Rosją – na co się zanosi. Niemcy deklarują dobre sąsiedztwo i – nie wpadają w euforię – trzeba im wierzyć. Stosunki z ZSRR są nadal nijakie i taki stan rzeczy nie powinien przenieść się na stosunki z Rosją.

Roman Dmowski – godny syn i reprezentant klasy, którą się dziś w Polsce odtwarza, wrogo do bolszewizmu nastawiony – wyrażał głębokie przekonanie, że współpraca gospodarcza z Rosją jest dla Polski niezbędna. Pod tym względem nic się nie zmieniło.

Na ogromnym obszarze, za naszą wschodnią granicą, rozpoczyna się przechodzenie do gospodarki rynkowej. Na chłonny rynek wschodni będą wchodzić przedsiębiorstwa z Zachodu. Jeśli ograniczymy stosunki ze wschodnim sąsiadem do rozpatrywania przeszłości, to możemy stracić niepowtarzalną szansę.

Trzeba być przygotowanym i na to, że stosunki demokratycznej Polski z demokratyczną Rosją nie zawsze będą się musiały układać sielankowo. Liczyć się trzeba i z przejawami nacjonalizmu, który był tępiony, jeżeli przeszkadzał dotychczasowemu systemowi. Może w stosunku do tej nowej Rosji też trzeba będzie wyciągnąć rękę z sakramentalnym: – *Przebaczamy i prosimy o przebaczenie.*

U progu pierwszej wojny światowej Wielki Książe Mikołaj Mikołajewicz pisał w odezwie do Polaków: *„Z sercem otwartym, z ręką po bratersku wyciągniętą, kroczy na wasze spotkanie wielka Rosja".* Wtedy były to słowa bez pokrycia. Po 77 latach być może nabiorą właściwego sensu.

Zaczęła się wielka gra, w której przychodzi nam brać udział. Potrzebne jest mądre, polityczne myślenie, bo można dużo wygrać, ale można też wiele stracić.

Zenon J. Michalski

Minister w literaturze

Cd. ze str. 13

przedmurze Krakowa, aby oczyścić pole walki. W późniejszych wiekach czyniliśmy podobne gesty. Jakże bym chciał, żebyśmy wreszcie przestali być czyimkolwiek przedmurzem...

Nasze domy... Nasze mieszkania, słowo także na „m" i także związane pojęciowo z murem. Trzeba co rychlej napisać rozprawę „Mieszkania w literaturze czasów przełomu", bo być może nadejdzie czas, kiedy będą one już tylko marzeniem i wyobraźnią. Minister, któremu powierzono budowę mieszkań powiedział niedawno przez radio, że teraz już każdy może mieć mieszkanie budując własny dom. Wystarczy niespełna 360 milionów złotych – tak mówił minister – z czego tylko część gotówką, a resztę na trzydziestoletnie spłaty po kilka milionów miesięcznie. Gdyby rata miesięczna wynosiła tylko dwa miliony, to po trzydziestu latach kwota wyniosłaby już prawie siedemset milionów, czego pan minister nie powiedział licząc na to, że nikt ze słuchaczy liczyć nie będzie. Jakie to proste: chcesz mieć mieszkanie, to sobie zbuduj. Trzeba być na pewno ministrem, żeby wpaść na taki pomysł. A minister to także słowo na „m". Może więc spróbujmy napisać inną rozprawkę: „Minister w literaturze ostatniego dziesięciolecia".

Włodzimierz Krzemiński

Niewytłumaczalna agresja

Po powrocie z urlopu wypoczynkowego, zapoznałem się z notatką przedstawiającą między innymi wypowiedź przedstawiciela Stowarzyszenia Właścicieli Nieruchomości, wygłoszoną na spotkaniu Łódzkiej Konferencji ds. Dekomunizacji. Zaskoczony jestem, że bez sprawdzenia danych, zostało to umieszczone na łamach tygodnika jako kolejna informacja, nieprawdziwa zresztą, na mój temat. Wypowiedź ta zawiera niestety dość charakterystyczne pomówienia, w związku z czym proszę o zamieszczenie na łamach „Odgłosów" mojego poglądu.

Nie jest prawdą, iż *„zafundowałem prezydentowi Palce samochód marki Hyundai"*. Sprawę tę dostatecznie dokładnie wyjaśniły inne publikatory, a także kompetentne czynniki.

Nie jest również prawdą iż *„dysponując nie swoimi pieniędzmi, ale pieniędzmi załogi... jestem fundatorem wyścigu kolarskiego i pierwszego Katolickiego Liceum"*, bowiem w pierwszym przypadku decyzję taką podjął Prezydent Hyundai Corporation, w trakcie wręczania nagrody zwycięzcy Międzynarodowego Wyścigu Kolarskiego Solidarności, *„nie eksponowałem swojej osoby kosztem załogi"*, gdyż nagrodę wręczał przewodniczący Komisji Zakładowej Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność". W drugim zaś przypadku, faktem jest, iż wpłynęła do Rady Pracowniczej przedsiębiorstwa prośba o wsparcie finansowe budowanego na osiedlu Teofilów pierwszego w Łodzi Katolickiego Liceum Humanistycznego im. Jana Pawła II, jednakże decyzja o jej udzieleniu nigdy nie została podjęta, **w związku z czym przedsiębiorstwo Polmozbyt nie jest jego fundatorem** natomiast **moje prywatne zaangażowanie jest moją prywatną sprawą.**

Z kolei kompletnym nonsensem, nazwałbym zarzut *„rozdawania 25 sztuk asygnat"*, gdyż komu jak komu, ale autorowi wypowiedzi, wieloletniemu pracownikowi przedsiębiorstwa, pełniącemu od stanu wojennego kierownicze funkcje, w tym również funkcję wiceprzewodniczącego Prezydium Rady Pracowniczej trzeciej kadencji, były znane wewnętrzne uregulowania obowiązujące w przedsiębiorstwie, w oparciu o które rozdysponowane były asygnaty na samochody, a w procedurze których dyrektor nie odgrywał żadnej roli.

Jedynym powodem insynuacji wygłoszonych pod moim adresem przez przedstawiciela Stowarzyszenia Właścicieli Nieruchomości Pana Wiesława Jurgę, o którym jeszcze nie wspomniałem, jest konflikt personalny, wyrażający się niewytłumaczalną agresją Pana Jurgi wobec mojej osoby. Konflikt rozpoczął się od czasu, gdy Pan Jurga podjął pracę w utworzonej przez Polmozbyt spółce pracowniczej pod nazwą Przedsiębiorstwo Usługowo-Handlowe „JUKOPOL" Spółka z o.o.

Dyrektor
Przedsiębiorstwa Państwowego
„Polmozbyt" w Łodzi
mgr Jan Grzesiek

Gdy rozpada się kultura

Każdy człowiek lubi plotki. Jedni się do tego przyznają, inni przeciwnie. Plotki lubią tak kobiety, jak i mężczyźni. Najchętniej czyta się plotki (i słucha, oczywiście) o kolegach, koleżankach, przyjaciołach, znajomych i o ludziach znanych – politykach, aktorach, uczonych. Niekiedy te plotki – dla przyzwoitości – nazywa się anegdotami. Dziennikarze uwielbiają zajmowanie się plotkami – są już nawet pisma, które programowo tym się zajmują – bo to im zapewnia poczytność i popularność. Jednym z dziennikarzy, który specjalizuje się w zajmowaniu się plotkami jest Bohdan Gadomski.

Przeczytałem ostatnio rozmowę pana Bohdana Gadomskiego z panią Barbarą Brylską. Rozczarowałem się tą rozmową. Właściwie nic się z niej o pani Barbarze Brylskiej nie dowiedziałem nowego, ciekawego, czegoś, czego do tej pory jeszcze nie wiedziałem. Rozumiem, że dziennikarz nie musi co tydzień dawać coś odkrywczego, ale powinien zwracać się do swego rozmówcy wtedy, gdy jest przekonany, że dowie się od niego czegoś frapującego, albo kiedy jest przekonany, że nikt tylko właśnie ten rozmówca odpowie mu – i Czytelnikom przede wszystkim – na pytania ich interesujące. Inaczej szkoda naszego wspólnego czasu. A redakcji powinno być szkoda miejsca.

Interesuję się prasą od wielu lat i wiem, że w czasach, gdy istniała cenzura, a różni działacze partyjni wykrzykiwali: – Cóż tam znów ci żurnaliści wymyślili! – łatwiej było i bezpieczniej udać się do uznanego autorytetu i na jego niejako odpowiedzialność podzielić się jego poglądami. Zawsze było bezpieczniej, gdy kontrowersyjne, lub nawet trącące rewizjonizmem poglądy wypowiadał profesor X. lub spawacz Y. aniżeli redaktor Z. Dziś redaktor Z., jeśli ma coś do powiedzenia istotnego, może to zrobić bez obawy i nie musi zasłaniać się autorytetem profesora czy spawacza. Często jednak okazuje się, że nie ma nic do powiedzenia i dlatego musi sięgać po pomoc uznanych autorytetów. Tyle, że opinie spawacza Y. odpadły ze względów politycznych.

Mam nadzieję, że Bohdan Gadomski – obok zajmowania się plotkami – przedstawi nam w najbliższym czasie poglądy znanych artystów na przyszłość kultury. Wali się ona nieodwracalnie. W gmachu Filharmonii mamy dom towarowy, teatry też można wykorzystać na giełdy i bazary, nic nowego dla kultury nie wybudujemy, co zatem robić zamierzają artyści, którym rozsypuje się w gruzy warsztat pracy? Czy to też nie jest ciekawe?

Leopold Kosternik

Jedno danie Anny-Marii

Ogromnie żałuję, szanowny Mężu Barbary, że akurat wtedy, kiedy wyjechałam na swój krótki urlop, zapragnął pan pogłębić wiedzę o sztuce kulinarnej. Ale oto wróciłam i z wielką przyjemnością pożyczę panu nie jedną, lecz wiele książek kucharskich. Bez zwykłego mi babskiego biadolenia, że to my, nieszczęsne kobiety posiadamy niemal na wyłączność wątpliwy przywilej smażenia dla was, naszych mężczyzn w piątek, świątek i niedzielę waszych ulubionych kotletów schabowych. Wywnioskowałam bowiem (czy słusznie, nie wiem), iż chęć pana męskiego eksperymentowania kulinarnego wyniknęła w prostej linii z pragnienia ulżenia swojej żonie, Barbarze, którą nie tylko zamierza pan zaprosić na piwo, lecz również – po tym piwie na własnoręcznie przyrządzoną gorącą, elegancką kolację. Więc chociaż nie znam pana żony, zazdroszczę jej szczęścia posiadania takiego męża.

Myślę jednak, Mężu Barbary, że to tego, aby być szczęśliwym nie wystarczy goła znajomość definicji szczęścia, zawartych w dziele profesora Tatarkiewicza „O szczęściu". Tak jak do tego, aby pędzić życie człowieka godziwego nie wystarczy znajomość „Medytacji o życiu godziwym" profesora Kotarbińskiego. Znam kilka takich osób (a i pewno w kręgu pańskich znajomych też się tacy znajdują), co „Medytacje" przestudiowali, a mimo to prowadzą żywot zgoła niegodziwy.

Z książką Władysława Tatarkiewicza, tę o szczęściu właśnie, wiąże się pewne dość przykre wspomnienie. Bo to ósme wydanie, o którym pan pisze, że ukazało się sześć lat temu nakładem PWN, nie było wcale pierwszym wydaniem owej kolaborującej z komuną oficyny. Swoje „O szczęściu" nabyłam jeszcze w połowie lat siedemdziesiątych. Nabyłam, zaś na stronie trzydziestej piątej postawiłam długopisem mały znaczek.

A to dlatego, że książki mi „ginęły". Jeśli ma się dwie na krzyż, i jedną z nich pożyczy, to nie sposób zapomnieć, ile się miało, i jakie, i komu się pożyczyło. Skoro tych książek ma się kilka tysięcy a pamięć właścicielki szwankująca, a i z kolei pamięć pożyczających też do luftu, wtedy po prostu książki ubywają w niewyjaśnionych bliżej okolicznościach. Najbardziej „ginęły" kryminały, ale nie tylko one. Że „O szczęściu" ulotniła mi się z półki, odkryłam dopiero po paru miesiącach. Nakład dawno się był rozszedł, zresztą już swoją kupowałam „spod lady", uznałam stąd, że „O szczęściu" straciłam bezpowrotnie. Znowu upłynęło sporo czasu, aż na imieninach u pewnej znajomej widzę: jest Tatarkiewicz!. Ucieszyłam się. Chociaż pożyczę poczytam na nowo. Przykro mi, Anno-Mario, ja książek nie pożyczam!, usłyszałam w odpowiedzi. Mnie też zrobiło się przykro, ponieważ znajoma owa często korzystała z mego księgozbioru. Kiedy jednak wertując stronice, na trzydziestej piątej znalazłam „ptaszek", zrobiło mi się nawet nie tyle przykro, co głupio. Odwołałam znajomą na bok, pokazałam „ptaszka", i powiedziałam, że przecież się zdarza pożyczyć i zapomnieć o tym, że się pożyczyło. Zmierzyła mnie wzrokiem arktycznym: *To jest moja własność, a taki znaczek to sobie mogłaś sama postawić przed chwilą.*

Remanent w bibliotece

Toteż zgadzam się z panem, Mężu Barbary, że zdarzyło mi się bywać nie w tych środowiskach, co należy.

Jest takie powiedzenie: jak cię widzą, tak cię piszą. Przystosowałabym je do naszych czasów następująco: pokaż mi swoje książki, a powiem ci, kim jesteś. Już Maria Nurowska wskazywała na kompromitującą człowieka obecność takich tytułów jak „Popiół i diament" czy „Kolumbowie". Strach pomyśleć o ludziach, którzy wciąż hołubią Putramenta, Żukrowskiego, albo nawet Iwaszkiewicza. Na kilka dni przed wyjazdem urlopowym spotkałam przy śmietniku sąsiada. Bardzo nobliwy z wyglądu pan, z wykształcenia humanista, współwłaściciel (obecnie) hurtowni, jeżdżący mercem. Ja dźwigałam wiadro pełne śmieci, on pakunek pełen książek. Wymieniliśmy, a jakże, ukłony. Robiłem właśnie porządki w bibliotece, poinformował mnie z nieco zażenowanym (zapewne z powodu miejsca spotkania) uśmiechem – wie pani, Anno-Mario, te wszystkie komunistyczne śmieci... Po czym je wytrząsnął. W ten sposób stałam się właścicielką „Sławy i chwały", która mi kiedyś „wyparowała", „Babiego lata", którego nigdy jakoś nie kupiłam i kilkunastu innych tytułów, które zabrałam ze śmietnika przez zwykły szacunek dla książki.

I zaraz przypomniała mi się historia innych porządków. Pod kątem przynależności narodowej autorów. Też dokonana niedawno. Mniej więcej w okresie, kiedy nasz prezydent składał wizytę w Izraelu. Moja przyjaciółka po powrocie z pracy zastała na bibliotecznych półkach dziwne luzy oraz wielce zadowolonego z siebie męża, który oświadczył, że oto właśnie powyrzucał tych wszystkich Żydów, różnych Słonimskich, Ważyków, Tuwimów i im podobnych, bo to hańba dla polskiego domu trzymać podobne nazwiska. Moja przyjaciółka pognała na śmietnik. Powyciągała z pojemnika „tych Żydów". Wśród nich odnalazła także czterotomowe wydanie poezji Staffa. W trakcie małżeńskiej awantury zapytała męża, dlaczego i Staffa wyrzucał. Mąż (doktorat z chemii) zdumiał się niepomiernie: a to nie Żyd? Leopold mu na imię, i nazwisko żydowskie z podejrzanymi dwoma „ef" w końcówce, i na dodatek bródka w szpic na zdjęciu...

Więc widzi pan, Mężu Barbary, ja dziś nie o biedzie, chociaż furt od śmietników nie mogę się uwolnić.

Pewno stąd urlop, jakiego udzieliła mi firma, wydał się szczytem szczęścia. Nareszcie pojadę gdzieś daleko i odetchnę bardziej czystym powietrzem niż to, jakie mnie otacza.

No i pojechałam. Tam, gdzie mnie nie było przez lat osiem. Na Mazury. Do miejscowości, którą opisał w „Na tropach Smętka" mistrz Wańkowicz, a w której ja znałam każdy dom i (tak mi się zdawało) wszystkich mieszkańców. Pisałam dla nich podania, woziłam na zastrzyki, do szpitala, na pogotowie, ba! nawet na targi do Myszyńca. Miejscowość ta nazywa się Piecek Krutyński, leży nad słynną rzeką Krutynią, nie opodal krystalicznie czystego jeziora Mokrego. Tam, nad Mokrym, dwadzieścia lat temu umarła najstarsza w Polsce sosna, zwana Królewską. Kiedy pierwszy raz przyjechałam na Mazury, ona właśnie umierała, stojąc. Trzydzieści pięć metrów wysoka, trzy i pół metrowa średnica pnia. I ponad trzy wieki życia. Wokoło niej, na szesnastohektarowym obszarze szumiał wciąż żywy, majestatycznie dwustuletni sosnowy bór: ścisły rezerwat przyrody, nazwany imieniem Królewskiej Sosny. Jakiś sentymentalny leśniczy umierające drzewo otoczył pełnym szacunku płotkiem, a później na martwym już jej pniu umieścił tabliczkę z epitafium: „Królewska Sosna. Żyła lat 320. Umarła w 1971". I widywałam przed nią mężczyzn, odsłaniających głowy; kobiety ocierające łzy. Ktoś kiedyś położył bukiet polnych kwiatów.

W ciągu tych ośmiu lat zaszły wielkie zmiany. Krutyński Piecek wzbogacił się, nowe domy, nowe tynki, nowe obyczaje. Za parkowanie samochodu na podwórzu pięć tysięcy doba, za łóżko – dwadzieścia, za psa – dziesięć. Za wiadro wody z kranu pięćset. Woda z rzeki i widoki za darmo. Jeszcze.

Nad Mokrym nie ma już rezerwatu „Królewskiej Sosny". Jest Park Narodowy. Z królewskiej sosny zdarto tabliczkę z epitafium. Sterczy pod niebo anonimowy nagi pień z nagimi konarami, doskonale nadający się do wycinania serduszek, inicjałów oraz wyrazów nie nadających się do publikacji.

„...Czółno opuszczone /Konik ciągnie wóz, to nie w moją stronę /Gęstwa białych piór po łące się trzepie/ Za łąkami las. Może tam jest lepiej?"

Może. Myśleć o tym, że za łąkami gdzieś las może tam jest lepiej – to jest jakaś recepta na szczęście i czy nie jest? Jak pan sądzi, Mężu Barbary?

Anna-Maria

E. L. Skalnik. Z tygodnia na tydzień (16)

Trzy pokoje z kuchnią w starym budownictwie

Joanna wybrała się do Andrzeja i opowiedziała mu o chorobie ojca. Andrzej się zdenerwował. – *Dlaczego mi o tym nie powiedzieli?* – *Nie wiem* – powiedziała Joanna. – *To nie ode mnie zależało.* – Andrzej długo się nie namyślał. Wziął samochód i pojechali na Nawrot.

– *Co z ojcem?* – zapytał bez wstępów.

– Jadwiga właśnie wróciła ze szpitala.

– *Nic dobrego. Trzeba ojca operować. I to im szybciej, tym lepiej.*

– *Rozmawiałaś z lekarzem?* – dopytywał się Andrzej.

– *Rozmawiałam. Robi nadzieje.*

– *Poczekaj* – Andrzej powoli się opanował. – *Opowiedz mi wszystko dokładnie.*

Jadwiga była bardzo zmęczona. Czuła się bezradnie. Wiedziała, jak mało od niej zależy. Miała ogromną ochotę pójść do siebie, wtulić głowę w poduszkę i wypłakać się do woli. Rozmowa męczyła ją. Ale nie mogła odmówić Andrzejowi prawa do poznania prawdy. Oficjalnie to był jego ojciec. Przecież on nic nie wiedział.

W szpitalu napatrzyła się na chorych z obandażowanymi głowami. I na takich ogolonych, którzy mieli rany pomalowane piochtaniną. Wyglądało to okropnie. Ale żyli. Jedni nie mieli żadnych pooperacyjnych komplikacji. Innym zdarzały się zaburzenia mowy, albo ruchów. Powłóczyli nogami, mieli niedowład ręki. Lekarz pocieszał. Zapewniał, że nie zawsze musi tak być. A nawet gdyby, to rehabilitacja czyni cuda. W Łodzi są znakomici specjaliści. Nie ma powodu do zmartwień na zapas.

Andrzej patrzył na matkę z niepokojem. Widział jej podkrążone oczy, poszarzałą twarz. Czuł jej niepokój. Ale musiał dowiedzieć się coś więcej, aby móc pomagać.

– *To jest oczywiste* – zaczęła Jadwiga – *kiedy operuje się mózg, to czasem może coś ulec uszkodzeniu, jakiś ośrodek mowy, ruchu. Powstaje paraliż, jak po wylewie krwi. Może być częściowy, może ustąpić całkowicie. Rehabilitacja czyni cuda* – posłużyła się słowami lekarza. – *Oni są dobrej myśli, ale ostrzegają, że całą prawdę zobaczą dopiero wtedy, jak otworzą czaszkę. Rozumiesz?*

– *Tak, mamo. I rozumiem, że taką skomplikowaną operację mojemu ojcu musi zrobić najlepszy w Łodzi fachowiec. I ja się już o to postaram!*

– *Znasz kogoś takiego?* – zaciekawiła się Jadwiga.

– *Jeszcze nie. Ale taki ktoś tu musi być. I dowiem się, gdzie go znaleźć.* – Wstał, skierował się ku wyjściu, ale przed drzwiami zatrzymał się. – *I jeszcze jedno. Wszystkie koszty biorę na siebie.*

Jadwiga chciała coś powiedzieć. Powstrzymała się jednak. Kiwnęła tylko głową i poszła do siebie. Joanna, która rozmowie przysłuchiwała się milcząco, poszła za nią.

Andrzej wsiadł do samochodu. Zapalił papierosa. Musi jechać do profesora Zenona Lewandowskiego. Czy go teraz zastanie w domu? Trzeba ryzykować. Zgasił papierosa i zapalił silnik.

Miał szczęście. Profesor był wprawdzie w szlafroku i widać po drzemce, ale był w domu. Być może nie był nawet rad z wizyty byłego kolegi ze studiów, ale tego nie okazał.

– *Coś się stało?* – zapytał i przeprosił, że przyjmuje gościa w takim stroju, ale miał dziś ciężką operację i teraz trochę odpoczywa. Andrzej machnął ręką.

– *Ojca mam w szpitalu* – usiadł wygodnie w fotelu.

– *Jakie rozpoznanie?* – zapytał profesor.

– *Guz na mózgu. Potrzebna operacja i musisz mi w tym pomóc.*

– *Ja* – uśmiechnął się profesor. – *Andrzejku! Ja jestem chirurg miękki. Tu potrzebny jest neurochirurg. Co ja ci mogę pomóc?*

– *Możesz* – uciął krótko Andrzej. – *Musisz mi powiedzieć, kto jest najlepszy i z nim skontaktować. Przecież znasz łódzkich chirurgów. A może ktoś spoza Łodzi?*

– *Czekaj, czekaj...* – profesor podszedł do stolika, na którym stały różne butelki i kieliszki. – *Napijesz się czegoś?*

– *Dziękuję. Jestem wozem. Nie mogę ryzykować.*

– *Słusznie, ale ja się napiję* – nalał sobie spory kieliszek koniaku. Usiadł wygodnie na kanapie. Pociągnął solidny łyk. Dłuższą chwilę milczał, zastanawiając się nad czymś.

– *Najlepszy* – powtórzył wolno. – *Jest taki.*

– *I ty go znasz?* – zniecierpliwił się Andrzej. – *Gdzie pracuje?*

– *Powoli, Andrzejku, powoli. Myślę o profesorze Zdzisławie Maladze. To artysta. Mistrz. Mogę spokojnie to mówić, bo dla mnie to żadna konkurencja. Ale są ludzie, którzy go nienawidzą. Bo mu nie dorastają do pięt* – profesor znów pociągnął łyk koniaku.

– *To pięknie* – ucieszył się Andrzej. – *O kogoś takiego mi chodzi.*

– *Są też inni* – profesor nie zważał na emocjonalne reakcje Andrzeja. – *Ale to dobrzy lub bardzo dobrzy rzemieślnicy. Nie!* – zdecydował się. – *To powinien być profesor Malaga.*

– *Dobrze go znasz?* – zaciekawił się Andrzej.

– *Tak* – profesor dopił koniak i postawił kieliszek na stoliczku. – *Mistrz. Mówiłem ci. Do każdego przypadku podchodzi inaczej, żadnej rutyny. Artysta. Zdarzało mu się operować w różnych warunkach. Raz chorą przywiózł z Afryki samolotem i natychmiast ją zoperował. Innym razem pacjent uciekł ze szpitala w Warszawie, taksówką przyjechał do Łodzi, żeby Zdzisio go operował. A pewien artysta wybrał się na operację do Krakowa i już go nie ma.*

– *Co się z nim stało?* – nie wytrzymał Andrzej.

– *W grobie leży. Zdzisio wielu uratował. Nie zawsze mu się udaje, bo czasem chory lekceważy chorobę i zbyt późno przychodzi po pomoc. Czasem nowotwór jest taki, że się chorego nie da uratować. Jak w życiu. Ale jemu się najczęściej udaje. To góral. Uparty, pracowity. Lubi polowania i mocne napoje. Do pracy przychodzi czasami w najmniej oczekiwanych porach, bo coś mu nowego wpadło do głowy. Nie mieści się w regulaminach i dlatego go wielu ludzi nie lubi. Ale nam taki jest właśnie potrzebny. Jeśli on się zgodzi, to masz już połowę roboty za sobą.*

– *Skontaktujesz mnie z nim? Dasz radę jutro? I powiedz, ile mnie to może kosztować. Tak w ogóle?* – Andrzej zabierał się już do wyjścia.

– *Tak w ogóle, to możesz liczyć jakieś sześć melonów. Zadzwoń jutro około 15. Dobrze?*

Anita wróciła do domu i zastała matkę, Joannę i Andrzeja w kuchni. Andrzej kończył relację ze swojej rozmowy z profesorem Zenonem Lewandowskim. – *Trzeba będzie* – powiedział – *przenieść ojca do Dużego Szpitala. Ale to już załatwimy z Zenkiem. Jak się jutro coś dowiem, to do was wpadnę.*

– *Dlaczego do Dużego Szpitala?* – nie mogła zrozumieć tego Anita.

– *Bo tam pracuje profesor Malaga i on będzie operował ojca* – wyjaśnił Andrzej i wyszedł.

Anita usiadła przy stole, wyciągnęła przed siebie nogi i oświadczyła: – *Jeść mi się chce!*

– *To sobie coś weź* – powiedziała matka. – *Ja nie mam siły, żeby ci jeszcze usługiwać.*

– *Wcale tego od ciebie nie wymagam. Zaraz sobie coś wezmę. Tylko coś wam opowiem. Byłam w szkole, żeby dowiedzieć się, kiedy będzie posiedzenie rady pedagogicznej. Spotkałam Helkę Pędzichównę. Zapowiada się fatalnie. Mniej godzin lekcyjnych, koniec z nadliczbowymi, mniej pieniędzy...*

– *I mniej roboty* – wtrąciła się Joanna. Anita nic nie powiedziała, tylko jej się uważnie przyjrzała.

– *Nauczyciele też będą protestowali. To nie ma być strajk, tylko akcja protestacyjna. Nie bardzo wiem, jak ma to wyglądać. Może jak emeryci pójdziemy pod Belweder.*

– *Tylko nie rzucajcie jabłkami w prezydenta* – znów nie wytrzymała Joanna. Ale Anita jakby nic zmieniła temat.

– *Pamiętacie tego faceta, który u nas nocował.*

– *Jacka Wiaderkiewicza?* – spytała matka. – *Pewnie, że pamiętam. To syn przyjaciela ojca.*

– *Tego* – ciągnęła Anita. – *Spotkałam go na ulicy.*

– *Na naszej?* – spytała Joanna.

– *Nie na Piotrkowskiej. Nie poznałam go, bo sobie brodę zapuścił. Ale ukłonił się:* – Dzień dobry, Anito – *powiedział. Musiałam mieć głupią minę, bo spytał, czy go poznaję. Przyznałam, że nie.* – Jacek jestem – *on na to* – ten, co to u państwa w kuchni nocował. – *I wtedy go poznałam. Nawet dobrze mu w tej brodzie. Bardziej męski się zrobił.*

– *O!* – wykrzyknęła Joanna – *moja siostra interesuje się mężczyznami.*

Anita zignorowała tę uwagę.

– *Pytał o coś?* – zaciekawiła się Jadwiga.

– *Pytał o tatusia* – wyjaśniła Anita.

– *I co mu powiedziałaś?*

– *Że jest chory i leży w szpitalu.*

– *Zupełnie niepotrzebnie* – Jadwiga się zniecierpliwiła. – *Po co wynosić nasze nieszczęścia?*

– *Ależ mamo* – Anita próbowała się usprawiedliwić. – *On się do nas wybierał. To i tak by się dowiedział. Bardzo ładnie się zachował. Zapytał, czy nam nie mógłby w czymś pomóc. Dał nawet numer telefonu do drukarni, bo on pracuje w drukarni, jakby coś było trzeba, a on mógłby nam pomóc. To ładnie z jego strony.*

– *To fajnie!* – niespodziewanie ucieszyła się Joanna. Obie spojrzały na nią ze zdziwieniem. – *Dlaczego?* – spytała matka.

– *Bo mógłby się przydać przy załatwianiu zaproszeń na ślub.*

Anita wzruszyła ramionami: – *Ta znów swoje! Na mnie już czas. A gdzie dzieci?* – nagle się zainteresowała.

– *Z moją mamą poszły na spacer* – wyjaśniła Jadwiga. – *Z dziadkiem nie można wytrzymać. Jak się dowiedział z telewizji, że jakiś niedojda wymyślił, aby wszystkim emerytom płacić po milionie złotych, to ciągle klnie i wymyśla. Wszystko mu przeszkadza. Zresztą trudno mu się dziwić. Im się nie przelewa, a my nie potrafimy im pomóc.*

Anita podeszła do drzwi i zajrzała do pokoju. – *A Marek gdzie?*

– *Gdzieś pokuśtykał* – wyjaśniła Jadwiga. – *Mnie się nie tłumaczy, gdzie chodzi.*

– *Ani mnie* – i Anita trzasnęła drzwiami.

Cdn.

Wyznaniami Caseya kończymy druk fragmentów powieści Johna L. Cocka, którą publikowaliśmy w kolejnych dziesięciu numerach „Odgłosów". Pamiętajmy, że właściwym narratorem jest pierwszy mąż tytułowej Marii, Jerry Dorn, z zawodu pisarz i scenarzysta filmowy. Wtrącenia, w postaci kolejnych wyznań mężczyzn tej obdarzonej bujnym temperamentem kobiety, mają podkreślić autentyzm relacji i wprowadzić różne punkty widzenia, co jest udanym zabiegiem kompozycyjnym.

Ekshibicjonizm tych zwierzeń, brak jakichkolwiek zahamowań stanowią swoiste katharsis. Dzięki temu bohaterowie doznają oczyszczenia, ale to nie rozładowuje rysujących się przed nimi konfliktów. Przeżyją bowiem kolejne rozczarowania, choć książka kończy się ostrożnym happy endem. Jakim? Tego nie mamy prawa ujawnić.

Rozwiązania należy szukać w integralnym tekście powieści „Maria, czyli kwadratura seksu", która już we wrześniu ukaże się nakładem Wydawnictwa Łódzkiego.

kf.

John L. Cock

Tłumaczyła: Hanna Falińska

Maria, czyli kwadratura seksu

Jeśli będziesz prowadził w góry następną grupę, zabiorę się z wami – powiedziała Maria po dłuższym milczeniu.

– *Już pora przygotować się do zimy* – odpowiedziałem ze smutkiem w głosie. – *Wrócę teraz do siebie, na rancho.*

Siedziała milcząc zapatrzona w ogień. Wreszcie odezwała się:

– *Fajnie było, Caseyu. Prawda, że było fajnie?*

I wtedy powiedziałem coś, czego wcale nie zamierzałem powiedzieć. Słowa zrodziły się we mnie jakby poza świadomością.

– *Mario, jedź ze mną do mnie, do mojego domu.*

Zwróciła do mnie głowę i spojrzała mi w oczy. Wstrzymałem oddech. Czyżbym strzelił gafę? Czyżbym zepsuł wszystko?

– *Dziękuję, Caseyu, chętnie z tobą pojadę* – odrzekła po chwili.

Nie miałem pojęcia jak długo zechce ze mną zostać. Prawdziwe chłody zimowe spadły na nas nagle i zostaliśmy uwięzieni w kanionie aż do nadejścia odwilży. Wiedząc, że takie odcięcie nigdy nie trwa zbyt długo, cieszyłem się nim szczerze. Zwłaszcza że nie byłem sam, że miałem przy sobie Marię.

Trzeciej nocy po owej śnieżycy kolejne niespodziewane, nie obmyślone z góry zdanie przedarło mi się przez usta. Siedzieliśmy przy samym kominku, obok siebie, bo zimno wdzierało się wyjątkowo zajadle do chaty. Mroźny wiatr hulał głośno po strychu. Wewnętrznie czułem się jednak odprężony, swobodny i szczęśliwy.

– *Mario* – powiedziałem nagle nie wiedząc, co za chwilę wypalę – *dlaczego nie mielibyśmy się pobrać?*

Nie odpowiadała przez tak długą chwilę, iż pomyślałem, że nie usłyszała.

– *Caseyu* – odezwała się wreszcie – *nie wiem, czy ci o tym mówiłam. Ja jestem bardzo bogata. Bardzo.*

– *To nie robi żadnej różnicy* – wyrzuciłem z siebie po namyśle – *przynajmniej dopóki jesteśmy razem tutaj.*

Roześmiała się:

– *I nie będziesz przyjmował sezonowych prac z turystami? Nie będzie ci żal tych utraconych cipek?*

Roześmiałem się wraz z nią:

– *Nie, nie będzie, jeśli będę miał ciebie* – i głos uwiązł mi w gardle – *bo ja cię kocham, Mario.*

Najpierw się zląkłem, że moje oświadczyny ją dotknęły, zamiast ucieszyć. Oczy jej ściemniały, a usta zaczęły drżeć, kiedy wyszeptała:

– *Ja też cię kocham, Caseyu. Ale nie jestem zbyt dobra w miłości.*

Przemilczałem drugą część tego zdania, bo nie wiedziałem, co na nią odpowiedzieć. Rzekłem krótko:

– *No to powinnaś wyjść za mnie.*

Siedziała nieruchomo.

– *Ja już byłam mężatką. Dwukrotnie. Nie chcę ryzykować po raz trzeci.*

Nic nie wiedziałem o jej poprzednich małżeństwach. Ale przeciąłem sprawę:

– *To nie ma dla mnie żadnego znaczenia. A poza tym mówi się przecież: do trzech razy sztuka.*

– *To wyjdę za ciebie.*

Wstałem z krzesła. Ona też wstała, tak że mogłem objąć ją ramionami. Powiedziałem smutnym tonem:

– *Tylko Bóg raczy wiedzieć, kiedy będziemy w stanie dotrzeć do miasta i stanąć przed kapłanem.*

Wyślizgnęła się lekko z moich objęć, spojrzała na mnie z powagą:

– *To co sobie powiedzieliśmy... ma dla mnie znaczenie decydujące.*

Odeszła od ognia, przeszła przez całą jadalnię i dochodząc do drzwi do sypialni, odwróciła głowę:

– *Przyjdź do łóżka, kiedy będziesz gotów.*

Weszła do sypialni i zamknęła drzwi za sobą.

Miałem sporo rzeczy do zrobienia. Dorzuciłem drew do ognia, spojrzałem na termometr za oknem, naniosłem do domu ogromne naręcze drzewa na rano, krzątając się tak z umiarkowanym pośpiechem. Kiedy skończyłem, wszedłem do jej sypialni. Usiadłem w nogach łóżka i włożyłem rękę pod kołdrę. Miała na sobie ciepłą bieliznę, którą sobie zamówiła w wysyłkowym domu towarowym.

– *Myślałem, że będziesz naga* – wymamrotałem.

Wstrząsnęła się:

– *Za zimno na to. Będziemy się kochać nago na wiosnę. I to późną wiosną. Pospiesz się, bo zamarzniesz na śmierć.*

Przyjrzałem się jej twarzy. To najładniejsza kobieta, jaką widziałem. I to moja kobieta. Nikt mi jej nie zasekwestruje.

Nie będę nawet próbował opowiadać, jak to się odbyło za pierwszym razem. Pochylony nad nią, rozpiąłem palcami rozporek w jej bieliźnie, żebym mógł w nią wejść. Odczekałem kilka sekund, przyglądając się jej twarzy w świetle lampy. Jej oczy mnie znały. I wszedłem w nią, wszedłem głębiej niż można to sobie wyobrazić i to było tak, jakbym odnalazł najcieplejsze miejsce do życia w czasie mroźnej zimy.

Zwariowałem od razu. Oddychała ciężko, ale zaraz ją poderwałem do kolejnego zrywu. Zacisnęła mi ramiona wokół szyi. Dobiegliśmy znów do mety razem. I jeszcze raz, i jeszcze.

Obudziłem się rankiem, było bardzo mroźno. Maria wciąż spoczywała w moich ramionach.

Ocknęła się:

– *Co się dzieje?*

Nasłuchiwałem przez chwilę.

– *Śnieg już nie pada. Ale jest o dobre kilkanaście stopni zimniej niż było wczoraj. Nie wstawaj, aż rozpalę ogień.*

Położyła mi rękę na brzuchu:

– *Nie trzeba nam ognia. Jeszcze nie.*

Dotknąłem jej. Była tak zupełnie gotowa, że aż się roześmiałem:

– *Chcesz, żeby stara krew znowu zawrzała? O to ci chodzi?*

– *Boję się, że nie uda się nam poruszyć w żaden inny sposób.*

Zarzuciłem nam koc na głowy i zapadliśmy na powrót w głąb naszej jaskini. Leżąc na boku, zarzuciła na mnie nogę. Ujeżdżałem ją jak dżokej konia, a ona się śmiała, i to było wspaniałe, i takie jak trzeba, i byłem szczęśliwy, byłem z nią taki szczęśliwy.

Nie zastanawiałem się, jak długo to potrwa.

Trwało przez dwa lata, przez dwa pełne lata byliśmy razem we dnie i w nocy. Kochaliśmy się regularnie przynajmniej dwa razy na dobę, przed zaśnięciem i przed wstaniem z łóżka po przebudzeniu, z wyjątkiem tych dni, kiedy Maria była nie do użytku.

Nie pytajcie, dlaczego to zaczęło ją nużyć. Nie wiedziałem tego wtedy, i nie wiem teraz. Bóg mi świadkiem, że czułem się szczęśliwy jak rasowy byk w zagrodzie – i sądziłem, że ona też jest szczęśliwa. Nie przyszło mi nawet do głowy, że ktoś może się znudzić życiem na rancho. Myślałem, że jak się już znajdzie takie miejsce do życia, trzeba w nim pozostać.

Któregoś wieczora, ni z tego ni z owego, Maria zagadnęła:

– *Caseyu, czy byłeś kiedy w Nowym Jorku?*

– *Nie byłem, ale nie mógłbym powiedzieć, że odczuwam z tego powodu jakiś żal.*

– *Caseyu, pojedźmy sobie do Nowego Jorku, co?*

Przypatrywałem się jej uważnie.

– *Nie stać mnie na to* – powiedziałem po chwili. – *Moglibyśmy co najwyżej zatrzymać się w tanim hoteliku i jeść w pokoju przyniesione z miasta dania garmażeryjne.*

– *Przecież wiesz, że ja mam mnóstwo pieniędzy.*

– *Ale to ty je masz, nie ja.*

Nie wracała do tej sprawy przez dobry tydzień. Ale któregoś wieczora, znów przy kolacji, tak jakbyśmy wracali do przerwanej przed chwilą rozmowy, oznajmiła:

– *Caseyu, ja tam chyba pojadę, zgoda?*

– *Na jak długo?*

– *Na jakiś miesiąc, powiedzmy.*

Spojrzałem na nią poprzez stół:

– *A co zrobisz z seksem?*

– *Przez miesiąc? Pomyśl sobie, ile go uzbieram na mój powrót.*

– *Przyzwyczaiłaś się do tego dwa razy dziennie. Będzie ci ciężko odwyknąć.*

Wstała od stołu.

– *Jadę do Nowego Jorku, Caseyu* – powiedziała spokojnie. – *Możesz tu zostać albo jechać ze mną. Co wolisz.*

Miałem nadzieję, że nie dojdzie do takiego oświadczenia. Ale skoro zostało wypowiedziane, zrozumiałem, że teraz przyszła pora na mój ruch. Znając stawkę – i wiedząc, że ona ją też zna – nie potrzebowałem ani dziesięciu sekund, żeby sobie uświadomić, że sama myśl o jej utracie jest dla mnie nie do zniesienia.

Nasz apartament w hotelu Plaza był niemal tak duży jak cały dom na rancho. Całe godziny spędzałem w domach mody oglądając Marię w coraz to innych strojach, które przymierzała. Kiedy kończyła z zakupami, przystępowaliśmy do wyszukiwania różnych lokali. Chodziliśmy najpierw wszędzie we dwoje, do teatrów i na koncerty wieczorami, do muzeów i galerii sztuki za dnia. Nie wspominam już o aukcjach, wyścigach konnych i nocnych lokalach. Wkrótce pojawiła się jakaś zarozumiała pannica i przeprowadziła z Marią wywiad do niedzielnego wydania „New York Timesa" i staliśmy się szeroko znani.

Nie uświadamiałem sobie, że Maria była sławna i budziła zainteresowanie opinii dzięki swemu bogactwu, swej rodzinie, i swemu tajemniczemu zniknięciu ze sceny towarzyskiej na całe lata. Czytając ów wywiad, dowiadywałem się o niej rzeczy, o których mi się nawet nie śniło.

Rys. Dariusz Romanowicz

Pojąłem co się dzieje któregoś dnia czekając na Marię odbywającą kolejne przymiarki w zakładzie krawieckim. Powoli stawaliśmy się sobie obcy – kochać się mogliśmy już tylko o czwartej nad ranem. Ale i wtedy poświęcała mi tylko połowę uwagi. Nie była już zbytnio zainteresowana seksem; wciągały ją inne zajęcia i pasje, które przynosiły jej nowe, mocne satysfakcje.

Pozostaliśmy w mieście przez całe lato, najgorętsze jakie pamiętam, i potem przez jesień, aby obejrzeć wszystkie nowe przedstawienia i wystawy i wziąć udział w początku sezonu operowego. Kiedy nadeszła zima i w Nowym Jorku zapanowały cholerne chłody, Maria po miesiącu pobytu w Palm Beach, dała się zaprosić na rejs jachtem na Morze Karaibskie.

Nigdy nie widziałem tak ogromnej łajby, z zawodową załogą i kapitanem oraz stewardem, który się snuł za nami bez przerwy, serwując drinki, albo podsuwając olejek do opalania.

Po kilku takich dniach zagięła na mnie parol żona naszego gospodarza. Odniosła już swój życiowy sukces, poślubiając oficjalnie swego męża, zamiast pozostać jego kochanką.

Na statku, choćby był nie wiem jak duży, nie sposób się odizolować. Owego wieczora siedziałem sobie na dziobie jachtu, w miejscu, które uważałem za najlepsze, kiedy szukałem spokoju. Poczuwszy czyjąś ciepłą dłoń na barku, odwróciłem się myśląc, że to Maria podeszła do mnie.

Ale to była Helena, żona właściciela jachtu.

Chociaż zachowywała się bardzo powściągliwie – tylko delikatne błyski w oku albo lekkie kręcenie tyłkiem, kiedy czuła, że na nią patrzę, ot takie tam sposobiki – wiedziałem dobrze, o co jej chodzi.

Nie odzywała się bardzo długo, ale nie odrywała ode mnie wzroku. A potem się roześmiała. Śmiała się wdzięcznie, lekko i beztrosko, ale dawało się w jej śmiechu wyczuć jakiś ukryty podtekst.

– *Co?* – spytałem.

Musiałem wypaść na głupka, bo zapytała zniecierpliwiona:

– *To nie wiesz, że mój mąż chce zdobyć Marię, zanim dobijemy na powrót do lądu? A jeśli Steven czegoś chce, zawsze to uzyskuje.*

– *Ale przecież mówiłaś...*

– *Mam swoje własne plany* – przerwała – *i zawarłam z nim układ. Prosty układ wymienny. On sobie weźmie Marię. A ja wezmę ciebie. OK?*

Zaczekaj chwilę, do cholery. Niech to sobie uporządkuję. Mówisz, że wszystko jest uzgodnione, i że mam to tylko potwierdzić, tak? Maria chce iść do łóżka z twoim mężem, a ja mam iść do łóżka z tobą, tak?

– *Nie rozmawiałam jeszcze z Marią. Najpierw chciałam się upewnić co do ciebie* – roześmiała się. – *Nie chciałam zostać wystawiona do wiatru. Kiedy będzie pierdolił Marię, musi wiedzieć, że ty pierdolisz mnie. Łup – cup – cup, zamiana dup, rozumiesz?*

Zadziwiało mnie to wszystko.

– *I tyś się jeszcze podjęła wytłumaczyć to wszystko Marii? A twojemu mężowi pozostaje teraz tylko spuścić spodnie.*

Odwróciła twarz, mimo iż i tak krył ją mrok.

– *To nie po raz pierwszy. I nie po raz ostatni.*

Niech to diabli wezmą, Helena mi się podobała. Była najsympatyczniejszą ze wszystkich kobiet, z jakimi się zetknąłem, odkąd wyjechaliśmy z rancho.

Wzburzony tak bardzo, że nie mogłem spokojnie myśleć o niczym, przyciągnąłem ją do siebie i posadziłem. Otoczyłem ją w pasie ramieniem i odczułem wyraźnie, jak jej ciało przywiera do mojego. Obejmując ją jedną ręką, drugą rozpiąłem jej suknię. Włożyłem dwa palce pod warstwę nylonu i ściągnąłem ją, obnażając Helenę. Sadowiąc ją na sobie, wbijałem się w nią raz za razem, głębiej i głębiej. Oddech zatrzymywał się jej w płucach za każdym moim uderzeniem, wzmaganym zaciskiem mych ramion splecionych wokół jej bioder.

Wściekły na to wszystko, i na nich wszystkich – na Helenę, Stevena, nawet na Marię, która musiała to przecież przewidywać – rżnąłem ją nie dla jej przyjemności, ani nie dla własnej. Chciałem ją rozszarpać. Ale to się nie udało.

Trzymając się mnie obiema rękami, uniosła się wraz ze mną, kiedy wstawałem.

– *Nie możesz mnie teraz zostawić* – jej głos brzmiał jak rozdzierane prześcieradło – *nie możesz mnie tak zostawić.*

– *Gówno tam nie mogę* – odpowiedziałem ostro, umieściłem go bezpiecznie w głębi rozporka i odszedłem.

Podbiegła za mną płacząc. Tam, w środku pokładu, kilkoro ludzi nas dostrzegło. Musiała się opanować i pozwolić mi odejść.

Stanąłem pośrodku kabiny i dostałem nagłych dreszczy. Stanąłem przy luku, czując powiew na twarzy, kiedy usłyszałem, że drzwi się otwierają. Myślałem, że to Helena przyszła tu za mną i nie bacząc na skutki, nie odwracałem głowy.

– *Kładziesz się spać tak wcześnie?* – usłyszałem głos Marii. – *Świetny pomysł. Wczesnym rankiem dobijamy do Christiansted i cały dzień spędzimy na lądzie.*

Spałem nawet dość mocno; coś się we mnie przełamało i ustaliło, wyparło wreszcie wszystkie wewnętrze wahania i wątpliwości. Ale usłyszałem, kiedy wróciła do kajuty i położyła się na drugiej koi.

Leżała dłuższą chwilę w ciszy. A potem odezwała się w ciemności:

– *Caseyu, wypierdolisz mnie? Czy mnie raz jeszcze wypierdolisz?*

– *Jest na to tylko jeden sposób* – odpowiedziałem. – *W głębokim śniegu, pokrywającym ziemię, w chłodzie ciągnącym od bieguna, i w ciepłych gaciach.*

I tylko te słowa padły między nami. Nazajutrz złapałem samolot lecący na kontynent. Kiedy dotarłem do domu, śnieg był tak głęboki, że ostatnie pięć mil musiałem przemaszerować pieszo; położyłem się do łóżka w zimowej bieliźnie. I w tym zimnym łóżku marzyłem najpierw o mojej źrebicy, a potem o Marii i zbranzlowałem się trzy razy, zanim wreszcie zasnąłem.

KONIEC